WTOREK 19 IV 1983 Nr 46 Cena 5 zł

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

SZCZĘŚCIE

„Gdybym mógł krótko powiedzieć, czym jest szczęście, nie pisałbym długiej książki" – powiedział profesor Władysław Tatarkiewicz – człowiek wielkiej mądrości, autor opasłego dzieła o szczęściu właśnie.

A czym dla Ciebie jest szczęście? Jak wyglądał Twój szczęśliwy dzień, szczęśliwe wydarzenie? Co to znaczy być szczęśliwym? Mieć dużo pieniędzy, podróżować po świecie? A może mieć psa, chomika, niezawodnego przyjaciela? Wyrozumiałych rodziców, mądrego nauczyciela? Odnosić sukcesy w zmaganiach z własną słabością, być dobrym i podziwianym przez wszystkich? A może szczęście znaczy dla Ciebie coś jeszcze zupełnie innego?

Napisz, spróbuj swoich sił w naszym dorocznym konkursie literackim „Złotej Ostrogi", który ogłosiliśmy w marcowym, 26 numerze „ŚM". A nuż szczęście uśmiechnie się właśnie do Ciebie i zostaniesz laureatem jednej z wielu nagród!

Zasiadając do pisania pracy, musisz pamiętać, że:

- może ją nadesłać każdy czytelnik w wieku 12–16 lat,
- opowiadanie nie powinno przekraczać 20 kartek z zeszytu (jednostronnie i czytelnie zapisanych), bądź 10 stron maszynopisu,
- pracę należy podpisać imieniem i nazwiskiem oraz pseudonimem, podać wiek, klasę oraz dokładny adres zamieszkania,
- termin nadsyłania prac upływa 30 czerwca br. (decyduje data stempla pocztowego). Na kopercie, zaadresowanej do redakcji – ul. Mokotowska 24, 00–561 Warszawa, nie zapomnij o dopisku „Złota Ostroga".

Nadesłane prace oceniać będzie w dwóch kategoriach wiekowych: 12–14 lat, 15–16 lat, konkursowe jury, złożone z pisarzy i redaktorów „Świata Młodych". Wyniki tegorocznego IX konkursu literackiego – nazwiska laureatów trzech głównych nagród: Złotej, Srebrnej i Brązowej oraz listę autorów wyróżnionych, opublikujemy po wakacjach. Ponadto najlepsze opowiadania zostaną wydrukowane w „ŚM", a ich autorzy otrzymają honorarium pieniężne. Uroczystość wręczenia nagród odbędzie się w Warszawie – już w nowym roku szkolnym, a o dokładnym jej terminie poinformujemy oddzielnie. Do piór więc i powodzenia! **(tem)**

Kto zjeżdża po tej równi, dowiecie się z nowej, 10-odcinkowej powieści współczesnej pisarki radzieckiej, o której mówi się, że pisze podobnie jak Małgorzata Musierowicz. Czy jest tak istotnie – przekonacie się w trakcie lektury...

NA STR. 3 PRZECZYTACIE
SPECJALNY WYWIAD
ZE ZBIGNIEWEM BOŃKIEM

ROZTERKA, ALE...

Zbyszek Boniek zadomowił się w Turynie szybko. Bezpośredni sposób bycia, duże poczucie humoru, a ponadto piłkarska klasa sprawiły, że Paolo Rossi, Roberto Bettega, Claudio Gentile i inni równie sławni nowi partnerzy Polaka z „Juventusu", zaakceptowali go w swym gronie szybciej niż oczekiwał. Nawet Dino Zoff, który z racji wieku, doświadczenia i umiejętności, cieszy się w drużynie szczególnym mirem, jest z młodszym o blisko 15 lat łodzianinem za pan brat. Michel Platini, który jednocześnie z Bońkiem przyjechał do Turynu by grać w „Juventusie", to też bliski przyjaciel Zbyszka. Obaj cudzoziemcy zbliżyli się do siebie szybko i łączą ich bliskie kontakty nie tylko na boisku.

Jasnowłosy Polak, którego gra jest pełna ekspresji i polotu zyskał też sobie błyskawicznie sympatię włoskich kibiców, a także dziennikarzy, zwłaszcza fotoreporterów. „Zibi" ma więc powody do zadowolenia. „Juventus" też...

DOKOŃCZENIE NA STR. 3

Gigantyczna praca dla wydawców – wielka przyjemność dla czytelników

FRANCJA (PAP). Staraniem rodzinnego miasta Juliusza Verne'a – Nantes w Bretanii – wydane zostaną wkrótce nie publikowane dotąd jego rękopisy. Ich ostatni właściciele, spadkobiercy pisarza, odsprzedali te pamiątki władzom miasta za niemałą sumę 6,6 mln. franków. Są to nieznane dotąd powieści, wiersze i listy, których część Verne napisał jako... 8-letni chłopiec. W sumie 1000 prac.

Czy są one tak samo ciekawe jak np. „Tajemnicza wyspa" czy „Dzieci kapitana Granta", przekonają się francuscy czytelnicy już w najbliższym czasie. My chyba będziemy musieli poczekać na „nowe" utwory Juliusza trochę dłużej... **(ws)**

Rajd pamięci

CZYTAJ NA STR. 5

I Bieg Wiosny

OTWARCIE SEZONU W ZADUSZNIKACH

(Inf. wł.). O sportowcach z Zadusznik (woj. włocławskie) pisaliśmy już wielokrotnie. Działa tam przecież prężny Szkolny Klub Sportowy, który słynie nie tylko z dobrych wyników na boisku (zwłaszcza lekkoatletycznym), ale również z organizacji doskonałvch imprez. Ostatnio SKS Zaduszniki, dokonując otwarcia lekkoatletycznego sezonu, przeprowadził I Bieg Wiosny. Wzięły w nim udział także reprezentacje sąsiednich szkół: z Wielgiego, Oleszna, Płonczyna, Dobrzynia n/Wisłą oraz Lipna. Na starcie imprezy stanęło w sumie 38 dziewcząt i 44 chłopców rocznika 1968 (i młodsi). Zawodniczki pokonywały dystans długości 1,5 km, zawodnicy – 3 km.

Pierwsze miejsce w grupie dziewcząt i puchar ufundowany przez dyrektora szkoły w Zadusznikach zdobyła **Renata Wiśniewska z Oleszna**. Na drugiej i trzeciej pozycji uplasowały się **Katarzyna Rutkowska** (Dobrzyń n/ Wisłą) i **Bożena Szląskiewicz** (Zaduszniki).

Rywalizację chłopców i puchar dyrektora szkoły w Wielgiem wygrał **Dariusz Kawczyński** z Lipna (szkoła nr 3), który wyprzedził **Grzegorza Składanowskiego** (Dobrzyń n/Wisłą) i **Stanisława Kalinowskiego** (Zaduszniki).

Impreza, której fragment widzimy na zdjęciu, odbywać się będzie również w latach następnych. SKS-owi z Zadusznik życzymy organizacyjnych i sportowych sukcesów. **(zp)**

Fot. **Aleksander Lewandowski**

SERWITUTY Z XV W. NADAL WAŻNE

(PAP). Tylko w trzech miejscowościach w kraju m.in. w Wąchocku (woj. kieleckie), obowiązują do dziś unikalne serwituty nadane edyktem królewskim z 1453 r. Z zapisów w księgach notarialnych wynika, że właściciele 191 numerów w Wąchocku mają prawo do pobierania pewnej ilości drewna z pobliskiego lasu. Zwyczaj ten jest przestrzegany od pokoleń i przechodzi na nowych spadkobierców. **(kl)**

SZKOŁA ZAMIAST... ZAJAZDU

(PAP). Turystyczny zajazd w okolicach Inowrocławia, budowany od kilku lat przez Rolniczą Spółdzielnię Produkcyjną, jeszcze przed uruchomieniem zmienił przeznaczenie. Zamiast restauracji – przy mało uczęszczanej trasie turystycznej – powstaje po niewielkich przeróbkach... szkoła. Młodzież nie będzie jeździć na lekcje kilkanaście kilometrów! **(kl)**

REPORTER Świata Młodych

GDYBYM BYŁ NAUCZYCIELEM...

KONTAKTY

Gdybym miała zostać nauczycielką, z pewnością wybrałabym polonistykę. Moja wizja nauczania tego przedmiotu, i w ogóle nauczania, jest całkiem odmienna od modelu, jaki ukształtował się ostatnimi czasy. Nie znaczy to oczywiście, że chcę krytykować sposób, w jaki dzisiejsi nauczyciele przekazują wiedzę, chcę tylko podzielić się z Wami moimi spostrzeżeniami i dać obraz ,,lekcji moich marzeń".

Pozwolę sobie ograniczyć się tylko do jednego przedmiotu, ponieważ najbardziej właśnie moja wizja lekcji języka ojczystego nie zgadza się z rzeczywistością. W wielu szkołach lekcja języka polskiego odbywa się w podobny, czy taki sam sposób.

Dzwonek. Wchodzimy do klasy. Nauczyciel krzyczy na rozwydrzoną dzieciarnię, po czym przystępuje do sprawdzania listy obecności. ,,Zamknijcie wszystko!" – to brzmi jak zapowiedź rychłej śmierci. Jak gdyby na złość wszystkie zeszyty i książki otwierają się pod ławkami. Drżę na całym ciele. ,,Weźmie... nie weźmie... weźmie..." Jest mi na przemian zimno i gorąco. Wszystko, czego nauczyłam się wczoraj, a co jeszcze dziś rano solidnie powtórzyłam, zdaje się ulatniać z pamięci. ,,Boże, przecież ja nic nie wiem!" – myślę z przerażeniem i kamienieję. ,,Nie, na szczęście nie ja" – oddycham z ulgą, ale nie na długo. ,,Weźmie... nie weźmie..."

Czy znacie ten paniczny strach, ten lęk w obliczu pytania? I jeszcze tę śmiertelną ciszę?

Tak wygląda właśnie każda lekcja polskiego w mojej szkole. Potem jest niby-wykład nauczyciela, bo czyż można nazwać dyktowanie całych zdań z podręcznika prawdziwym wykładem? Piszemy wszystko, co nam się powie, w zeszytach, zbyt szybkie tempo nie pozwala na wysiłek, jaki trzeba by zadać sobie w celu napisania własnych, zdobytych na lekcji wiadomości.

Podsumowując: na lekcjach nauczyciel niejednokrotnie stwarza psychozę lęku, grozy, co tylko zniechęca uczniów do nauki danego przedmiotu. Po cóż cała ta nerwówka? Czy nie można by inaczej...?

Dzownek. Wchodzimy do klasy. Nauczyciel kładzie dziennik na stole i jeszcze go nie otwiera. Od razu przystępuje do wykładu. W trakcie lekcji, wśród ogólnej dyskusji nauczyciel zagaduje uczniów i na podstawie tych obserwacji ocenia. Gdybym była nauczycielką, starałabym się wprowadzić więcej lekcji nie dotyczących wytyczonych w podręczniku problemów. Oczywiście materiał jest, trzeba go przerobić, ale oprócz niego chciałabym podyskutować z uczniami na temat np. obejrzanego wczoraj teatru TV czy zamieszczonego w prasie ciekawego artykułu. Pragnęłabym zbliżyć ich do wykładanego przedmiotu, zachęcić do nauki. Uczynić ją nie musem, ale przyjemnością. Wszystko zależy tylko i wyłącznie od wykładowcy... Co do obecności, to sprawdzałabym ją przy końcu lekcji z zapytaniem typu: ,,Ciekawe, kto też obraził się dzisiaj na Mickiewicza" lub: ,,Ciekawe kogo znudziły ostatnio wiersze Norwida". Czyż nie byłoby to fajne, potraktowane nieco z humorem? Nie potrafię wprost zrozumieć nauczycieli, którzy ,,w odwet" za nieobecność ucznia na następnej lekcji męczą go tak długo, aby w żadnym wypadku nie postawić mu pozytywnej oceny. Ale dlaczegóż nie przyszedł on na lekcję? Nie rozumiał jakiegoś problemu? Miał trudności z interpretacją wiersza? Nie potrafił scharakteryzować bohatera książki? Uważam, że warto byłoby się nad tym zastanowić, zbliżyć się do ucznia, porozmawiać z nim – jeśli nie w trakcie lekcji, to po, czy przed. Przecież harmonijną, opartą na zrozumieniu atmosferę zapewnić może tylko i wyłącznie kontakt ucznia z nauczycielem, i odwrotnie.

Niech nauczyciel zrozumie wreszcie, że uczeń jest też człowiekiem, że też ma swoje ,,dobre" i ,,złe" dni.

Niech uczeń zrozumie wreszcie, że nauczyciel nie jest pozbawiony trosk i kłopotów dnia codziennego, że też oprócz pracy w szkole ma pełne roboty ręce we własnym domu. Zechciejmy zrozumieć się nawzajem i... pokochać. Tak, model nauczyciela z rózgą w ręku wyszedł już z mody, chociaż... kto wie, może niektórym z nas naprawdę przydałoby się solidne lanie za wagary czy inne przewinienia?

,,Stokrotka"

JA ICH SZANUJĘ

W naszej szkole niektórzy nauczyciele źle odnoszą się do uczniów. Są to tacy, którzy nie przestrzegają Kodeksu Ucznia. **Nasz nauczyciel od fizyki bije uczniów, którzy nie umieją ostatniej lekcji.** Większość nauczycieli jednak lubi i ceni swoją pracę. Nie wszystkich nauczycieli uczniowie szanują jednakowo, jednych uważają za dobrych, drugich za złych.

Nauczycieli cenię za dobre prowadzenie lekcji, sprawiedliwe ocenianie uczniów, niektórych zaś za to, że dobrze tłumaczą. Nasz nauczyciel od matematyki nieraz tłumaczy całą lekcję i za to bardzo go cenię i szanuję. Sam szanuję nauczycieli i chcę być szanowany także przez nich.

Krzysztof
woj. łomżyńskie

CZY BICIEM MOŻNA WYTŁUMACZYĆ

Nasza pani od fizyki jest dobrą nauczycielką, choć bardzo na nas krzyczy i dużo wymaga, ale dobrze uczy. Np. jak któryś uczeń nie rozumie, to zostanie z nim po lekcjach, albo weźmie drugi raz tę samą lekcję choćby z powodu jednego ucznia.

Podobny do tej pani od fizyki jest pan od polskiego, ale on na nas nie krzyczy i można z nim pożartować. Jest dobry i sprawiedliwy w ocenach. Ale są nauczyciele okropnie źli, jak np. pan od muzyki i pani od matmy. Pan muzyk nieraz przychodzi na zastępstwo i robi klasówki, pyta, chociaż to nie jest jego przedmiot. **Daje surowe kary, wyrzuca z lekcji i bardzo krzyczy, a na dodatek bardzo silnie bije.**

A pani od matmy prawie taka sama: słabszemu uczniowi nie wytłumaczy, tylko jak on stoi przy tablicy i nie rozumie, to go bije, że on się nie nauczył.

Krosno

POMARZYĆ – TRZEBA

Wszyscy myślą, że oni daliby sobie radę jako nauczyciele, że w ich klasie panowałby spokój i porządek. Lecz to tylko pozory! Naprawdę bylibyśmy tacy sami, też stawialibyśmy dwóje i wpisywali uwagi, też byśmy byli niekiedy niesprawiedliwi i szorstcy. Bo, pomyślcie tylko chwilę, czy nauczyciele nie mogą być zmęczeni, czy oni nie mają także swoich kłopotów i trosk? Nauczyciel jednak w szkole musi być dla nas miły, nie może stawiać dwójek za nieodrobione zadanie, gdyż według nas byłoby to niesprawiedliwe!

Ja sama nie czuję powołania do zawodu nauczyciela i wiem, że jest to zawód trudny i odpowiedzialny, lecz daje satysfakcję, kiedy wychowa się młodzież na dzielnych Polaków i dobrych ludzi.

,,Aśka"

JAK BAJKA?

Jest pochmurny, deszczowy dzień. Klasa VIa z zainteresowaniem słucha nauczycielki opowiadającej dzieje Galileusza. Temat na pozór nudny, cóż może obchodzić uczniów jakiś tam Włoch? A jednak, o dziwo, wygląda na to, że słowa nauczycielki w całości docierają nawet do ,,tępych" dzieci. Czyżby więc jakieś nieziemskie zjawisko? Zapytani na pauzie o przyczynę tego ,,zjawiska" szóstoklasiści odpowiadają rozbawieni:

– Ależ tak jest na każdej lekcji historii! Tylko nieliczni potrafią słuchać bez zainteresowania naszej wychowawczyni.

– Czyżby więc jakiś niezwykły dar wymowy? Pewnie wasza nauczycielka lubuje się w ,,kwiecistych zdaniach"?

– Wręcz przeciwnie, mówi bardzo przekonywająco, ale rozgadywać się nad błahą sprawą – to nie w jej stylu.

– Dobrze, ale chyba nie powiecie mi, że potrafi z wami dyskutować na interesujące was tematy?

– A dlaczegóż by nie? Każdej godziny wychowawczej oczekujemy z niecierpliwością! Każdy z klasy może zabrać głos i jeszcze nigdy się nie zdarzyło, aby jego wypowiedź była wyśmiana lub zlekceważona przez nauczycielkę.

– W takim razie jak się mają wasze stopnie?

– No, chyba trudno wyobrażać sobie, aby uczniowie uważający na lekcji mieli dwóje?

– Nie chcecie chyba mi wmówić, że wszyscy macie piątki?

– Nie, aż tak dobrze to nie jest. Pani ocenia nas tak, jak na to zasłużymy (bez względu na to czy to syn zwykłego robotnika, czy jej koleżanki), ale zazwyczaj na czwórkę lekcje umiemy.

– A czy wasza wychowawczyni często opuszcza godziny historii?

– Ależ skąd! Tylko wtedy, gdy ciężko zachoruje, lub zdarzy się naprawdę jakiś niezwykły wypadek. Zresztą nasza pani chyba bardzo lubi swą pracę, ponieważ często urozmaica nam lekcje w różny sposób, za co jesteśmy jej naprawdę wdzięczni...

,,Siódemka"

Spotkania

Wybrany czy zamordowany?

To było dokładnie czterdzieści lat temu, choć nie w taki zwyczajny wtorek jak dziś, ale w przypadającą wtedy później Wielkanoc.

,,Owego strasznego dnia, dziewiętnastego kwietnia 1943 roku, spoglądałam na ulicę przez malutkie okienko na strychu, gdy nagle usłyszałam dziwny hałas dochodzący jakby z daleka. Nie wiedziałam z początku, co on oznacza, ale ogarnęło mnie przeczucie, że dzieje się coś złego. Po pewnym czasie przypomniałam sobie, że słyszałam podobne odgłosy we wrześniu 1939 roku, podczas oblężenia Warszawy. To były armaty..."

Tak ten moment opisała później Irena Birnbaum, znajdująca się już wtedy po aryjskiej stronie, jedna z tych, którzy wielokrotnie ocierając się o śmierć jednak ocaleli. ,,Non omnis moriar" – ,,Nie wszystek umrę" – tak zatytułowała wydany teraz pamiętnik z getta warszawskiego.

W chwili wybuchu powstania kierowanego przez Żydowską Organizację Bojową było tam wówczas ponad sześćdziesiąt tysięcy osób. Ile ich ocalało? Kilka dni walk ulicznych, kilkanaście w podziemnych bunkrach i schronach. Gdy po zaciętej obronie pada bunkier kierownictwa powstania, pozostali przy życiu obrońcy, z komendantem Mordechajem Anielewiczem, popełniają samobójstwo. Tak jak dziesięć miesięcy wcześniej Adam Czerniakow, przed wojną wybrany do Senatu Rzeczypospolitej, w getcie prezes tzw. Judenratu, który po rozpoczęciu przez hitlerowców wzmożonej akcji deportacyjno-likwidacyjnej napisał w pożegnalnym liście: ,,Żądają ode mnie, bym własnymi rękami zabijał dzieci mego narodu. Nie pozostaje mi nic innego, jak umrzeć". Tak jak dokładnie dziewięć miesięcy wcześniej – 5 sierpnia 1942 roku – doktor Henryk Goldszmit czyli Janusz Korczak, który nie chciał opuścić dzieci z sierocińca i wybrał samobójczą deportację do Treblinki.

,,Bóżnice w zgliszczach, Tora spalona, rabinów nie ma, zbójca ich zabił... Koniec. W płomieniach niebo po nocach stoi, a we dnie czarnym spowija się dymem – i tak co noc już i co dnia! Jest jak pustynia – tak dzikie, jak za najpierwszych początków: w dzień chmur wyniosła kolumna, a nocą kolumna ognia... Wymordowano nas wszystkich – od dzieci małych do starców – oto nam wszystkim zagłada nastała dziś na tej ziemi."

Słowa te pochodzą ze wstrząsającej ,,Pieśni o zamordowanym żydowskim narodzie" Icchaka Kacenelsona, którą przetłumaczył Jerzy Ficowski, ,,aby zamordowany poeta sam raz jeszcze powtórzył to samo – po polsku". Bo autor poematu przeżył swój naród, a pieśń o nim przeżyła jego samego.

Icchak Kacenelson był nauczycielem i poetą. Życiem i śmiercią tak podobny do Korczaka, sławą tak od niego różny... Przed wojną znany był szeroko jako autor wierszy i utworów scenicznych dla dzieci, już w getcie – jak pisze o nim Jerzy Ficowski – ,,co dzień narażony na śmierć, jak wszyscy tam i wtedy, pracuje jako nauczyciel w tajnym gimnazjum i liceum, bierze udział w seminariach organizacji Hechaluc, występuje na spotkaniach autorskich, wygłasza referaty, uczy pieśni, podtrzymuje na duchu, kieruje kołem dramatycznym organizacji młodzieżowej Dror, pisze dla jej tajnych gazetek i wydawnictw."

W sierpniu 1942 roku traci w Treblince żonę i dwóch synów – czternastoletniego Bencjona i jedenastoletniego Jomełe. Sam z najstarszym synem, osiemnastoletnim Cwi, ginie w dwa lata później, przeżywszy o rok klęskę powstania, w komorze gazowej Oświęcimia. Swój poemat pisze w obozie w Vittel we Francji, zakopując rękopis w trzech butelkach pod pniem sosny. Pieśń uszła cało, by świadczyć, wbrew przepojonym goryczą i rozpaczą słowom: ,,Nie zabrzmią nigdy spod serca pieśni żydowskich poetów... To wszystko już przeminęło, to jest już tylko legendą! Nie będzie już nigdy więcej żydowskich teatrów, nie będzie, nikt się już w nich nie zaśmieje, wzruszenia łzy nie uroni..."

A jednak... Jedyny na świecie stały Teatr Żydowski istnieje w Warszawie. Blisko dwieście premier, które obejrzało kilkaset tysięcy widzów, słuchając tu ze sceny języka jidisz lub korzystając – przez słuchawki – z polskiego tłumaczenia. ,,Wśród walących się ścian" to ostatnia premiera teatru, spektakl grany w języku żydowskim, polskim i niemieckim, poświęcony walce warszawskiego getta.

W naszym kraju obywateli polskich narodowości żydowskiej jest kilkanaście tysięcy. To ci, którzy Polskę wybrali jako swoją ojczyznę. A Polska, po hebrajsku Polim, oznacza – tu spoczniesz... Dla milionów oznaczało to nie tylko w dosłownym tłumaczeniu. Mimo akcji pomocy niesionej z narażeniem życia (w samych tylko klasztorach polskich przetrwało wojnę ponad pięćset żydowskich dzieci), pomocy, która licznej grupie Polaków przyniosła międzynarodowe odznaczenie ,,Sprawiedliwy wśród narodów świata", przyznawane przez Instytut Pamięci Narodowej Ijad-Waszem w Jerozolimie.

Jerozolima – święte miasto. Jordan – święta rzeka. Izrael – państwo obiecane przez proroka. W ,,Księdze Ezechiela" czytamy: ,,Oto ja otworzę groby wasze a wywiodę was z grobów waszych, ludu mój! i wwiodę was do ziemi izraelskiej".

Tuż przed minioną Wielkanocą z tamtych właśnie stron, z zachodniego brzegu Jordanu przyszła wiadomość o wstrząsającej zbrodni: zatruciu gazem neurotoksycznym ponad trzystu dzieci palestyńskich w szkołach położonych na terenie okupowanym przez Izrael.

,,Lecz za nic nie moglibyśmy – choć dla was to niepojęte i nie pojmiecie już tego nigdy, dopóki świat światem – zabijać innych: wytępić narodu, bo jest bezbronny..." napisał Icchak Kacenelson, zanim zginął w komorze gazowej.

Jarek

REDAKCYJNA POCZTA

Brak mi przyjaciół

Chodzę do VI klasy szkoły podstawowej w Grójcu. Jestem chora; w zeszłym roku 3 miesiące leżałam w szpitalu, przez to nie zdałam do klasy VII. W klasie, w której się teraz znalazłam, nie mam żadnych koleżanek. W szkole i na podwórku nazywają mnie ,,trędowata", ,,kościotrup" itd. Uczę się średnio, siedzę sama w ławce, nikt się do mnie nie odzywa, czuję się niechciana wśród rówieśników. Lubię czytać i czytam dużo. Ale brak mi przyjaciół. Co zrobić, żeby ich zdobyć?

Agnieszka S.

Jestem od niej młodszy

Jestem wysoki i przystojny – tak przynajmniej twierdzą dziewczyny. Niedawno poznałem dziewczynę, która chodzi do ósmej klasy. Jestem od niej o dwa lata młodszy i w tym mój problem. Boję się przyznać do tego, bo nie wiem jak ona na to zareaguje. Nie chciałbym jej stracić. Poradźcie, co robić?

Bratek

Jak pomóc Marzenie?

Moja koleżanka, Marzena, nie należy do najlepszych uczennic. Nasza wychowawczyni odnosi się do niej inaczej niż od pozostałych uczniów. Zawsze obniża jej oceny. Może to właśnie wpłynęło na stosunek klasy do Marzeny. Dziewczęta jej nie lubią, chłopcy odnoszą się do niej ordynarnie. Nawet ja się od niej odsunęłam, bo boję się plotek. Wiem, że nie powinnam tak robić, ale czuję się bezradna. Chciałabym przekonać klasę i wychowawczynię, że Marzena wcale nie jest taka zła, tylko jak się do tego zabrać?

Wiem o Marzenie coś, czego nikt poza mną nawet się nie domyśla. Otóż Marzena ma duże kłopoty rodzinne, jej rodzice rozwodzą się i w domu są prawie codziennie awantury. Szukając przyjaciół wpadła w złe towarzystwo, zaczęła palić. Jak ją z tego wszystkiego wyciągnąć? Czy można jej jeszcze pomóc?

Elżbieta

OD REDAKCJI: Jesteśmy przekonani, że nie tylko można, ale trzeba pomóc Marzenie. To ładnie z Twojej strony, że nie jesteś obojętna na jej kłopoty i uważamy, że nie powinnaś się tego wstydzić, czy bać się plotek. Spróbuj o kłopotach Marzeny porozmawiać z wychowawczynią. Sądzimy, że razem z Tobą zrobi wszystko, by zmienić stosunek uczniów do Marzeny. (mi)

Spojrzyj na to realnie

Piszę w sprawie ,,Mrówki" z 16 nr ,,ŚM". Ubolewa ona w liście, iż w domu nie ma żadnego zwierzęcia. Od roku, a może i dłużej staram się również o psa. Największym przeciwnikiem trzymania zwierząt w domu jest mama, ale podczas ostatniego roku ta sprawa jakoś się przybliżyła. Tata postanowił w końcu kupić mi psa, mojego wymarzonego, cockerspaniela i dostanę go podobno na tegoroczne urodziny.

Droga ,,Mrówko"! Jeżeli podejmiesz się opieki nad długowłosym psem, to musisz go szczotkować, myć, kąpać, sprzątać po nim, wychodzić na spacery, karmić i sama mu gotować, bo pewnie Twoja mama nie będzie tego robiła. Może jszezce się zastanowisz, czy temu podołasz?

,,Regina"

Towarzystwo Wiedzy Poszukiwanej czyli ci, którzy mają swoją historię

„TWIERDZĘ, WĄTPIĘ, PYTAM... W tych słowach można by zawrzeć całą filozofię życiową" – tak rozpoczyna swój list „Marzycielka".

„Poglądy, które starałam się streścić do minimum, stanowią część mojej filozofii życiowej" – tak kończy swój list Ala.

A Ty? Czy dorobiłeś się już własnej filozofii? Skąd zebrałeś jej elementy? Które z nich są zgodne z przedstawionymi w dzisiejszych listach?

CAŁA FILOZOFIA

TWIERDZĘ, WĄTPIĘ, PYTAM... Cóż, myślę, iż w tych słowach można by zawrzeć całą filozofię życiową jednostki, choć trudno w kilku lapidarnych słowach streścić to, co czujemy my, ludzie – obserwatorzy świata. A jednak spróbuję.

TWIERDZĘ, że każdy człowiek potrafi żyć pięknie, każdemu z nas dane jest przeżyć życie jak najdoskonalej. Trzeba tylko umieć żyć. „Życie jest w kolorze, jaki ma twoja wyobraźnia" powiedział przed laty Marek Aureliusz. Tak, jeśli nawet życie nie rzuca nam samych daktyli do ust, musimy umieć stworzyć sobie ten własny wyimaginowany świat. Prawda, marzenia są kruche, nazbyt kruche, aby budować tylko z nich życie. Ale dlaczegóż by nie upiększać sobie świata? Marzenia to naprawdę wspaniała rzecz. Życie współgrające z nimi ma naprawdę sens!

WĄTPIĘ, czy kiedykolwiek w życiu spotkam chłopaka, jakiego sobie wymarzyłam. Wątpię, bo żyję i widzę, jak ma się rzecz z większością młodzieży. Na podstawie własnych i chyba wnikliwych obserwacji posiadam swój sąd o dzisiejszych chłopakach. Moim ideałem jest chłopak – prawdziwy człowiek, umiejący docenić prawdziwe wartości dziewczyny. Chłopak zajmujący się nie ubiorem (tylko i tylko), nie dyskoteką, nie chuligaństwem, ale chłopak myślący. Czy są jeszcze tacy chłopcy, z którymi naprawdę można by porozmawiać o sprawach ważnych, może nawet i sentymentalnych?

PYTAM tych, w czyich rękach leży dobro całego świata. Czy nie widzicie, że cały świat pragnie pokoju?! O nie, to nie utarty slogan. To coś, co płynie z serc wszystkich ludzi. Zapytuję jeszcze raz: czy długo jeszcze każdy kolejny dzień nastręczać nam będzie wątpliwości co do spokojnej egzystencji? PYTAM, czy nastanie wreszcie taki dzień, w którym słowo wojna przestanie istnieć i nawet dzieci skończą swe wojenne zabawy?

„Marzycielka"

JEDNAK Z UŚMIECHEM

Zawsze chciałam mieć prawdziwego przyjaciela. Takiego, któremu mogłabym powiedzieć wszystko, poradzić się, cieszyć i płakać wspólnie. Nie wiem, czy to, co łączy mnie z Magdą można nazwać przyjaźnią. Coś się rozłazi i nic nie wychodzi ze wspólnych rozmów i zwierzeń. Czemu tak się dzieje? Czy kiedykolwiek znajdę prawdziwego przyjaciela? WĄTPIĘ!

Wiem, że sprawa mojej przyjaźni jest niczym w porównaniu z kłopotami naszego kraju. Nadal trwa kryzys i wszyscy odczuwamy jego skutki. Mimo że niektóre produkty są na rynku w wystarczającej ilości, to po inne tworzą się niemałe kolejki.

PYTAM, jak długo trwać będzie kryzys gospodarczy?

Czy wszyscy robimy wszystko, żeby zmniejszyć jego skutki?

Czy my młodzi, kiedy za kilka lub kilkanaście lat założymy swoje rodziny, będziemy mieli szansę zdobycia mieszkania?

TWIERDZĘ, że życie mimo różnych kłopotów da się lubić. Jeżeli człowiek posiada poczucie humoru, zrozumienie dla innych i odrobinę fantazji, to nawet w za krótkim płaszczu i przemakających butach może się czuć wspaniale. W świecie książek można znaleźć to, czego czasem w szarym życiu nie ma.

A więc, z uśmiechem przez życie!

„Miki" Starogard Gdański

BEZ FUNDAMENTÓW?

TWIERDZĘ, że tacy jak ja nie zbudują sobie fundamentów do nowego, własnego życia, tego w bliskiej lub trochę dalszej przyszłości. Że świat marzeń, świat książek przewyższa ten rzeczywisty pod różnymi względami milion razy.

PYTAM, dlaczego człowiek uważa się za najwspanialsze dziecię, jakie posiada Matka-Ziemia, a jest w rzeczywistości tym najgorszym?

Dlaczego kiedyś komuś przyszła do głowy ta bzdura, że człowiek innego koloru skóry niż biały, musi być istotą gorszą i ciągle upokarzaną?

Czy tak bardzo potrzebna jest ta wspaniała technika, te wszystkie rzeczy, ułatwiające życie człowiekowi, rzeczy które w rzeczywistości mogą go całkowicie zniszczyć?

Czy są jeszcze ludzie, którzy nigdy w siebie nie zwątpili?

Dlaczego w życiu najważniejsze są pieniądze?

Czy dobrze robi ten, kto mocno wierzy w siebie i nigdy się nie załamuje?

WĄTPIĘ w człowieka.

WĄTPIĘ, aby chłopak mógł naprawdę kochać dziewczynę.

Więcej twierdzeń i zwątpień nie mam. To, na czym się opieram, to pytania. Mam czternaście lat i cały czas je sobie zadaję. Z doświadczenia wiem, że w tym wieku nie można twierdzić za wiele. Więc ja PYTAM tych, którzy twierdzą. Według mnie nie można twierdzić, nie pytając. Niektóre z tych pytań będą zawsze trwały, niektóre całkiem pójdą w zapomnienie. Tacy są przecież nastolatkowie. Teraz płaczą, a po chwili śmieją się pełnym głosem.

Halina Halkowicz, Bronków

WARTO ŻYĆ

WĄTPIĘ, czy kiedykolwiek ludzie zdołają zaprowadzić jeden sprawiedliwy ustrój społeczny. Żadne społeczeństwo nie jest z gruntu złe i żadne nie składa się z samych dobrych ludzi. Wszędzie znajdzie się człowiek, który będzie chciał zniszczyć to co szlachetne. W końcu ile razy ludzie próbowali tego? Likurg, rewolucja francuska, chrześcijaństwo, Spartakus, socjalizm. Wszystko to zawierało prócz innych wartości trzy słowa: wolność, równość, braterstwo. I jeszcze miłość. Tak, miłość do człowieka – humanizm. Każda z tych idei mogłaby stać się zalążkiem sprawiedliwego ustroju, civitas solis – państwa słońca. Ale każdą ideę ludzie potrafią wypaczyć, przystosować do swoich potrzeb, zamiast samemu się podciągnąć.

WĄTPIĘ, choć bardzo chciałabym się mylić, że mimo całej mojej wiary w dobroć i szlachetność natury ludzkiej, mimo iż kocham życie i chciałabym żyć w pełni tego słowa znaczeniu, to wątpię, czy wszyscy ludzie dojdą do porozumienia. Ale chcę się mylić!

TWIERDZĘ, że możliwa jest przyjaźń wszystkich ludzi na świecie. Przyjaźń pomimo wszystko. Potrzebna do tego jest tylko chęć znajdowania w człowieku wszystkiego co najlepsze, potrzebna jest tolerancja oraz... umiejętność obracania wielu rzeczy w śmiech. Dzięki temu wiele konfliktów można byłoby zażegnać.

TWIERDZĘ, że gdyby istniała podobna przyjaźń, to głód, terror, groźba wojny nuklearnej – to wszystko by po prostu zniknęło. Myślę, że gdyby ludzie nie zatracali ideałów młodości, nie musielibyśmy bać się, że zmarnujemy swoją młodość. („Jedna wojna i wszystko się zawali. Po co się starać?")

TWIERDZĘ jeszcze, że warto żyć. Przyjaźń jest piękna, pozwala widzieć w przyjacielu człowieka niezwykłego, nadaje życiu smak, niezwykłość, pozwala poza jednostajnością dostrzegać inne wartości. Przyjaciel potrafi pokazać coś, na co nie zwracamy uwagi, nauczyć żyć, pomóc uwierzyć w siebie. Sama doświadczyłam takiej przyjaźni i dlatego mogę to twierdzić.

PYTAM, czy będę człowiekiem. Prawdziwym człowiekiem. Czy potrafię się przełamać, dojść do pełni człowieczeństwa? Czy nie będę jednym z samotnych w tłumie, który nie ma co z sobą począć i nie wie dokładnie czego chce? Czy potrafię dobrze rozplanować życie? W końcu mam je tylko jedno i nie chcę go zmarnować. Czy dam radę? Nie chcę, by młodość przeciekała mi między palcami, nie chcę stracić jej nie wiadomo na czym. Chciałabym się jeszcze trochę uczyć. Jak to zrobić, by nie odbyło się to kosztem zdrowia, młodości, zabawy? Ile należy poświęcić czasu na rozwój fizyczny, a ile na duchowy? Chciałabym móc pod koniec życia powiedzieć: żyłam, nie straciłam czasu na darmo. Ale czy za kilka lat to wszystko nie wywietrzeje mi z głowy, czy nie odrzucę tego jako mrzonek młodości? Jak ustawić sobie życie? Czy wszystko, czego chcę, uda mi się?

Poglądy, które starałam się streścić do minimum, stanowią część mojej filozofii życiowej. Być może czasem sobie przeczą, czasem się powtarzam, ale tak czuję.

Czytałam wcześniej drukowane wypowiedzi. Z częścią się zgadzam, ale z niektórymi polemizowałabym. Może udałoby się przekonać i pomóc jakiemuś młodocianemu przedstawicielowi pokolenia wściekłego rocka (który też lubię) czy samotnych w tłumie o sensie życia. Jak można twierdzić mając życie przed sobą, że ono nie ma sensu?! Warto żyć, warto!

Ala

Może potrafisz odpowiedzieć na wątpliwości i pytania „Miki" czy Haliny? Może podpowiesz, kto mógłby zrobić to najbardziej przekonująco. Zaprosimy go do współpracy z Towarzystwem Wiedzy Poszukiwanej, z tymi, którzy twierdzą, wątpią i pytają. Już niedługo spróbujemy przedstawić sumę ich twierdzeń, wątpliwości i pytań.

W dalszym ciągu czekamy na Wasze listy. Na kopercie zaznaczcie: T W P

Specjalny wywiad Zbigniewa Bońka dla „ŚM"

ROZTERKA, ALE...

Zbigniew Boniek na okładce najpopularniejszego w Europie pisma o tematyce piłkarskiej – „France Football" (Francja)

DOKOŃCZENIE ZE STR. 1

– Panie Zbyszku. W „Widzewie" był pan gwiazdą. W „Juventusie", złożonym w połowie z mistrzów świata, nie jest pan liderem, a tylko jednym z jedenastu. Czy czuje się pan źle w takiej roli?

– Zawsze byłem jednym z jedenastu. W „Widzewie" i w reprezentacji. Chociaż przyznaję, że mój sposób bycia, a czasem i gry, sprawiał, że traktowano mnie jak lidera. Przynosiło mi to czasem satysfakcję, ale narażało częściej na krytykę. W pierwszych meczach mistrzostw świata w Hiszpanii wszyscy grali źle, ale najwięcej dostało się Bońkowi. Podobnie bywało w „Widzewie". W „Juventusie" odpowiedzialność rozkłada się pospołu.

– A Paolo Rossi, najskuteczniejszy strzelec i najlepszy piłkarz „Espana '82"? Czy nadmiar zaszczytów, jakie spadły na jego głowę, nie sprawiły, że nosi ją teraz zbyt wysoko?

– Skądże. Paolo to niezwykle sympatyczny i wciąż bardzo skromny chłopak. Ma ujmujący sposób bycia, jest życzliwy i wiecznie uśmiechnięty. Wszyscy go bardzo lubimy.

– Claudio Gentile ma u wielu kibiców renomę „zabijaki". Pamiętamy jego ostrą, często brutalną grę w Hiszpanii i wcześniej...

– Lubię takich. Owszem, potrafi grać twardo, ale futbol nie jest dla panienek. Claudio sprawia wrażenie młodzieńca, który niczym się nie przejmuje i jest na wiecznym „luzie". Często, podczas gry czy treningu, gwiżdże sobie pod nosem.

– Swoistym fenomenem w „Juventusie" jest Dino Zoff. Przekroczył już czterdziestkę i w waszym gronie jest już starszym panem. Jaki jest Dino?

– Zoff dla „tifosów", jak określa się tutejszych kibiców, to świętość. Ma niebywały autorytet wśród piłkarzy, dziennikarzy i sympatyków piłki. Z jego zdaniem liczy się nawet trener Giovanni Trapattoni. Do Zoffa nikt nigdy nie ma pretensji za nieudaną interwencję. Takie zdarzają mu się zresztą bardzo rzadko. To wciąż znakomity bramkarz.

– Gra Pan w drużynie zawodowej, za duże pieniądze. Nie wszyscy piłkarze „Juve" otrzymują tyle samo. Czy na tym tle nie dochodzi do nieporozumienia?

– Nie, chociażby z tego powodu, że nikt z nas nie wie, jak wysoką gażę mają inni. To tajemnica. Szczegóły mojego kontraktu zna tylko prezes klubu, trener i Boniek. Podobnie jest z innymi.

– Jak to się stało, że „Juventus" złożony z tak świetnych piłkarzy, przegrał w lidze tyle spotkań?

– Po mistrzostwach świata reprezentanci byli zmęczeni fizycznie, a zwłaszcza psychicznie. Brakowało w niektórych spotkaniach pełnej mobilizacji i koncentracji. Ponadto przeciwko „Juventusowi" konkurenci grali ze szczególnym zaangażowaniem. Na zasadzie „bij mistrza". W rezultacie pierwsza faza rozgrywek ligowych nie były dla obrońcy tytułu pomyślna. Straciliśmy sporo punktów i chociaż w tym roku „Juve" spisuje się znacznie lepiej, to jednak dystans do lidera, AS Romy, okazał się zbyt duży. Walczymy teraz o tytuł wicemistrza kraju, ale przede wszystkim chcemy zdobyć Puchar Europy...

– Na drodze stanął wam „Widzew"...

– Często marzyłem o tym, by kiedyś w meczu o wysoką stawkę „Juventus" zmierzył się z „Widzewem". Kiedy jednak dotarła do mnie informacja, że owe marzenia stały się faktem, znalazłem się w pewnej rozterce.

– Skąd te obiekcje?

– Otóż „Widzew" to klub, któremu wszystko zawdzięczam, który wciąż darzę olbrzymim sentymentem i życzę mu jak najlepiej. Grają w nim moi przyjaciele. Jako piłkarz „Juventusu" mam jednak obowiązek, sportowy i moralny, grać przeciwko każdemu rywalowi i to grać jak najlepiej. Przeciwko „Widzewowi" również. Ponadto tak, jak Rossiemu, Platiniemu czy Zoffowi, zależy mi bardzo na zdobyciu Pucharu Europy. To nasz wspólny cel. Nie tylko zresztą nasz.

– Czyj jeszcze?

– Całej Italii. Już od kilkunastu lat włoska drużyna nie zdobyła Pucharu Europy. Teraz jesteśmy bardzo bliscy celu. Życzą nam sukcesu nie tylko kibice z Turynu, także sympatycy innych włoskich drużyn, nasi konkurenci. To niemal sprawa narodowa...

– Gdyby założyć, że „Juventus" wyeliminuje „Widzew", to w finale traficie na słynny „Hamburger" SV, a może „Real" San Sebastian. To groźni rywale. Puchar, choć można go prawie dotknąć ręką, jest jednak wciąż daleko...

– Przyznam, że cały czas bardziej obawiałem się spotkań z „Widzewem", niż finału w Atenach, 25 maja. Znam „Widzew" i wiem, że potrafi walczyć bez kompleksów, a w meczach o najwyższą stawkę wznieść się na wyżyny swych umiejętności. Przekonał się o tym Liverpool, a wcześniej kilka innych pewnych siebie zespołów. W finale każdy z piłkarzy, który w nim występuje, musi dać z siebie wszystko, bowiem stawka jest najwyższa. To bardzo mobilizuje. A ja uważam, że „Juventus" to obecnie najsilniejsza klubowa drużyna kontynentu.

– Są tacy, co by z tą opinią dyskutowali...

– Proszę pokazać mi zespół, w którym gra aż tylu dobrych piłkarzy. Można wyeliminować z gry jednego, ale jak wyłączyć 6–7 zawodników, z których każdy może, bo potrafi, wziąć na siebie ciężar gry.

– W futbolu nie zawsze wygrywają faworyci.

– W tym właśnie tkwi urok tej dyscypliny. Nie mówmy więc o Atenach, skoro przed nami Łódź i rewanżowy mecz z „Widzewem".

Rozmawiał: **TOMASZ TRZCIŃSKI**
Fot. **„France Football"**

PAMIĘTNIK DAWIDA Z BODZENTYNA

Dokument z lat grozy i hańby

Dwanaście lat skończył Dawid latem 1939 roku. Ukończył również wtedy szóstą klasę szkoły powszechnej. We wrześniu hitlerowcy napadli na Polskę i Dawid – z żydowskiej rodziny Rubinowiczów – już nigdy nie poszedł do szkoły w podkieleckiej wsi Krajno, w której mieszkał. Nie poszedł już nigdy do żadnej innej szkoły. Albowiem i on, i jego najbliżsi zostali przez hitlerowców z góry skazani na wyniszczenie. Jedynie i wyłącznie dlatego, że byli Żydami.

Dawid Rubinowicz w pięciu cienkich szkolnych zeszytach spisywał pamiętnik swoich przeżyć w tamte okrutne dni. Przytaczamy tu niewielkie tylko, ale dosłowne, fragmenty zapisków Waszego rówieśnika. Pomyślcie chwilę nad nimi w czterdziestą rocznicę dni, w których chwycili za broń Polacy-Żydzi w warszawskim getcie.

ROK 1940

21 marca: Wczesnym rankiem szedłem przez wieś na której my mieszkamy. Z dala zobaczyłem na ścianie sklepu jakieś ogłoszenie, poszedłem prędko przeczytać. Nowe ogłoszenie było żeby Żydzi nie jeździli całkiem na wozach (pociągami już dawno było zabronione).

4 kwiecień: Dziś wstałem wcześniej bo miałem iść do Kielc. Smutno mi było samemu iść polnymi drogami. Po 4-ro godz. podróży wszedłem do Kielc. Gdy wszedłem do wujka zobaczyłem, że wszyscy siedzą zasmuceni i dowiedziałem się, że wysiedlają Żydów z różnych ulic i ja się również zasmuciłem...

7 lipca: Od tygodnia choruję, dziś się trochę lepiej czuję. Usiadłem koło okna i patrzyłem na zielone pola. Było mi przyjemnie patrzeć bo tydzień nawet nie patrzyłem przez okno.

11 lipca: Czuję się już zdrowy. Wyszedłem już na dwór, słońce świeciło i było gorąco. Cały dzień byłem na dworze. Bo wcale nie mogłem być w domu...

5 sierpnia: Wczoraj przyjechał stróż z gminy do sołtysa, żeby wszyscy Żydzi poszli do rejestrowania się w gminie. Na godzinę 7-mą rano byliśmy już w gminie. Byliśmy tam kilka godzin...

12 sierpnia: Przez całą wojnę uczę się sam w domu. Gdy sobie przypomnę – jak chodziłem do szkoły to mi się do płaczu zbiera. A dzisiaj muszę być w domu nigdzie nie wychodzić. A gdy sobie przypomnę jakie wojny się toczą na świecie, ile ludzi pada dziennie, od kul, od gazów, od bomb, od epidemji i od innych wrogów ludzkich. To tracę chęć do wszystkiego...

13 grudnia: Sołtys powiedział żebyśmy się usunęli z mieszkania, bo będzie wsypywał w mieszkanie ziemniaki kontygientowe. Ledwo tatuś uprosił sołtysa żeby ludzie zwozili ziemniaki, gdzie dawniej była mleczarnia.

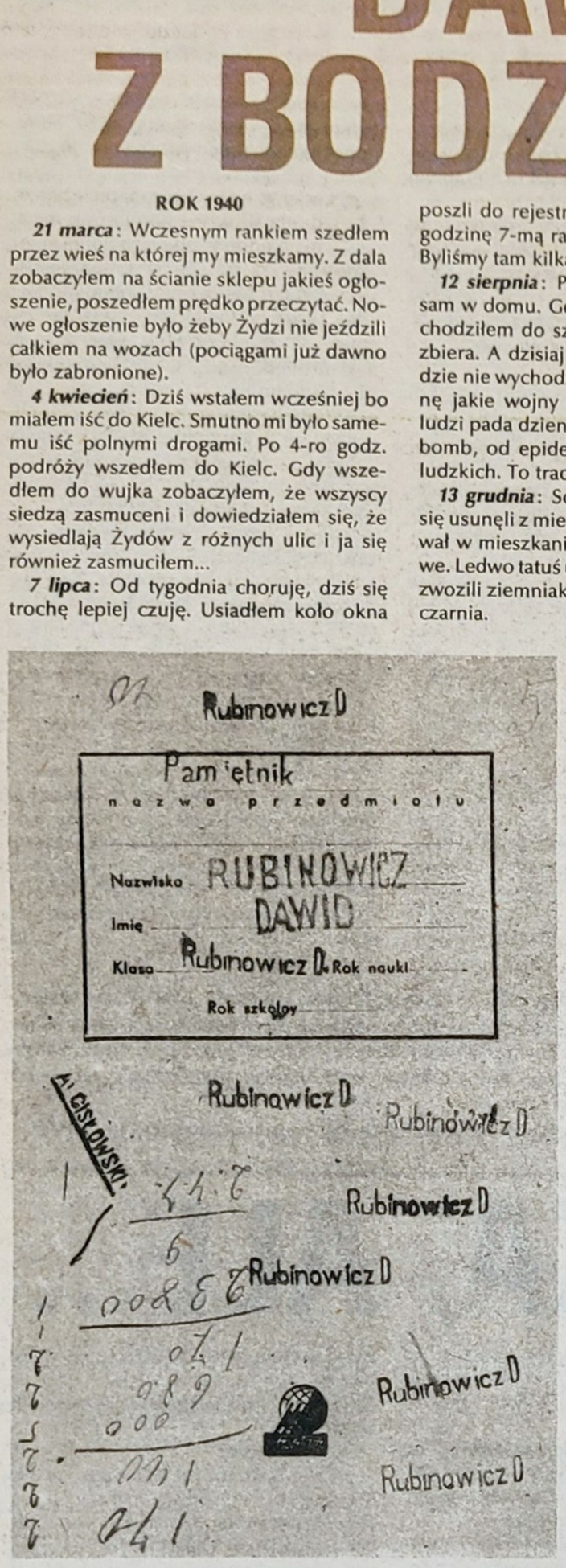

Reprodukcja oryginalnej okładki jednego z zeszytów pamiętnika Dawida Rubinowicza. Pieczątkę zrobił prawdopodobnie własnoręcznie

Zdjęcie przedstawia scenę z likwidacji warszawskiego getta. Wyizolowaną i odgrodzoną murem od reszty miasta dzielnicę żydowską hitlerowcy utworzyli w Warszawie w listopadzie 1940 roku. Skupili tu ponad 400 tysięcy obywateli polskich – Żydów. Tragiczne warunki bytowania i bestialstwa hitlerowców powodowały systematyczne biologiczne wyniszczanie mieszkańców getta. Do lipca 1942 r. zmarło tu prawie 100 tys. osób. Od marca 1942 r. hitlerowcy przystąpili do likwidacji warszawskiego getta. Latem wywieźli z getta ponad 300 tys. Żydów, których następnie wymordowali w obozie Treblinka II. W dniu 19 kwietnia 1943 r. na wezwanie Żydowskiego Komitetu Narodowego wystąpiły zbrojnie Żydowska Organizacja Bojowa i Żydowski Związek Wojskowy przeciwko ekspedycyjnym oddziałom hitlerowskim, które miały dokonać deportacji reszty Żydów z warszawskiego getta do obozów śmierci. Powstańcy bronili się wśród pożarów i ruin domów burzonych przez niemiecką artylerię. Powstanie popierała ludność cywilna. Bojownicy getta wspierani byli z zewnątrz m.in. przez grupy bojowe Armii Krajowej i Gwardii Ludowej. Wobec przeważającej siły wroga dowództwo ŻOB zmuszone było wycofać oddziały do podziemnych schronów. Walki w gruzach zburzonego getta trwały do lata 1943 r. Około 7000 osób zginęło w walce, w płomieniach, w zalanych kanałach i wysadzonych w powietrze schronach. Pozostałych przy życiu 50 tys. Żydów hitlerowcy wywieźli do Treblinki i wymordowali.

ROK 1941

21 marca: Innego roku o tej porze, zaczynały się już prace w polu. A dziś jeszcze jest zima jakby to było w styczniu nie w marcu. Mrozy są duże i zamiecie...

1 kwietnia: Około godz. 10-tej rano przechodził jeden Żyd z Kielc i mówił, że od dziś będzie dzielnica żydowska w Kielcach. Przejąłem się tak tą wieścią, że cały dzień nie wiedziałem, co się ze mną dzieje. Nawet tego samego dnia, Żydzi ci co mają jakąś rodzinę poza obrębem dzielnicy, to odjechali z Kielc i jechali do swoich rodzin. My to mamy prawie całą rodzinę w Kielcach, co teraz poczną. A drożyzna przecież będzie gwałtowna, jak w innych miastach co są dzielnice...

22 czerwca: Jeszcze było ciemno gdy tatuś nas wszystkich pobudził i kazał słuchać jaki okropny huk słychać z północo-wschodu. Taki huk był że, ziemia się trzęsła. Przez cały dzień słychać było taki huk. Nad wieczorem jechali z Kielc Żydzi to powiedzieli że, Rosja Sowiecka wypowiedziała Niemcom wojnę. Dopiero teraz zrozumiałem całodzienny huk...

10 lipca: Nadszedł czas bardzo ciężki. Trudno przeżyć każdą godzinę. Zawsze mieliśmy trochę zapasów żywnościowych chociaż na miesiąc, a teraz jest trudno kupić na jeden dzień żywności. Nie ma dnia żeby ktoś nie chodził po prośbie, kto tylko przyjdzie nic nie chce jak co zjeść, co teraz jest najtrudniejsze...

12 grudnia: ...Dzisiaj wczesnym rankiem przyjechała Żandarmerja. Gdy jechali szosą to spotkali jednego Żydka idącego za miasto i zaraz go zastrzelili bez żadnej przyczyny, gdy jadąc tak dalej zastrzelili jeszcze jedną Żydówkę znów bez żadnej przyczyny... Ja idąc do domu bardzo się lękałem żebym się czasem z nimi nie trafił, ale z nikim się nie trafiłem.

28 grudnia: ...W Kielcach jest kilka ofiar dziennie, za wyjście z dzielnicy żydowskiej. W takich okropnych i złych warunkach przechodzą dnie i tygodnie pełne trwogi i grozy...

ROK 1942

11 stycznia: ...Zara poszedłem zobaczyć co jest nowego na ogłoszeniu... stróż powiedział, że mają wysiedlać wszystkich Żydów ze wszystkich wsi. Gdy to powiedziałem w domu, wszyscy żeśmy się bardzo przejęli. Teraz na taką tęgą zimę będą nas wysiedlać gdzie i dokąd?

3 marca: ...Wujek mówił, że Żandarmerja powiedziała, że wolno się przeprowadzać do Bodzentyna...

10 marca: Wcześnie rano poszedłem zamówić furmankę... Idąc z powrotem do domu wstąpiłem po żelazny piecyk bo był pożyczany. Bo jak mamy wyjeżdżać to nam się może przyda. W naszej wsi nie ma prawie człowieka żeby nie żałował nas... Po kolacji naszło się do nas dużo chłopów, przyszli odwiedzić nas, bo już nas nie będzie. Gdy sobie pomyślałem, że musimy stąd odjechać to musiałem wyjść na dwór, tak żem się rozpłakał, że stałem więcej jak 1/2 godziny i szlochałem...

13 marca: Chociaż dopiero przyjechaliśmy, to nie jesteśmy obce w Bodzentynie, każdy nas dobrze traktuje, jak braci...

16 marca: W swoim domu było inaczej jak tu. Zawsze było co robić, a tu wyjdę na ulicę i nazad przychodzę, bo co będę robił na ulicy...

6 maja: Okropny dzień!: Około godziny 3-ciej obudziło mnie jakieś stukanie. To już policja robiła obławę... Ojca nam zabrali, co posiadaliśmy własności też zabrali... on jest chory, bez lekarstwa nie może żyć... Położyłem się już do łóżka to sobie przypomniałem tatusia, ja tu sobie leżę w wygodnym łóżku a tatuś może tam nie ma nawet trochę słomy i w jakim baraku. Tak mi się serce ściskało, że nie mogłem się powstrzymać od płaczu i tak płacząc zasnąłem...

15 maja: O czwartej rano przyjechało kilka samochodów, myśleliśmy, że już będą wysiedlać wszystkich. Z tej trwogi dostałem okropnych boleści i musiałem wyjść. Nie zdążyłem otworzyć drzwi zobaczyłem, że na drugiej stronie ulicy stoi Niemiec i patrzy prosto na mnie... Gdy stałem w oknie zobaczyłem furę z Niemcami i jakieś cywilni też byli pokuci w kajdany, przyjechała jedna fura druga trzecia i czwarta... Niemcy byli bardzo uzbrojeni, w hełmach, granaty mieli przy sobie i kulomioty...

1 czerwca: Dzień radości!: ...Tatuś przyjechał ze zranioną ręką, bo o to go puścili... Bardzo trudno mi opisać te wszystkie opowiadania tatusia... Z tej całej radości zapomniałem zapisać najważniejsze i najokropniejsze. Dzisiej rano wyszło dwie Żydówki na wieś, były to matka i córka. Jak na nieszczęście jechali Niemcy z Rudek po kartofle, tu do Bodzentyna, i spotkali te 2 Żydówki. Gdy one zobaczyły Niemców to zaczęły uciekać ale dogonili i złapali ich. Chcieli ich zastrzelić zaraz na wsi, ale sołtys nie pozwolił, to poszli koło lasu i tam ich zastrzelili. Żydowska policja pojechała zaraz po nich, żeby pochować ich na cmentarzu. Gdy fura przyjechała to była bardzo zakrwawiona. Kto...

Na tym urywa się pamiętnik Dawida Rubinowicza. Istnieje uzasadnione przypuszczenie, że Dawid zginął w obozie śmierci w Treblince, zagazowany wraz z innymi Żydami z transportu suchedniowskiego w dniach 22 lub 23 września 1942 roku.

Opr. JAST
Fot. archiwum

Jaka jesteś naprawdę ?

Szumi dokoła las...

Mam bardzo mało wolnego czasu. Pracuję jako przyboczna w ZHP, prowadzę drużynę zuchową, uczę się języka niemieckiego i gry na akordeonie. Prawda, że dojazd mam na te dodatkowe lekcje utrudniony (3 km rowerem, potem 9 km pociągiem, który nie zawsze pasuje), ale jeżdżę tylko raz w tygodniu. I nie narzekam. Tyle o sobie, a teraz jak ja widzę las i zajęcia leśników...

Robotnik leśny pracuje 8 godzin, chyba że ma pole, wtedy pracuje podwójnie. Praca jego wcale nie jest taka prosta, jak by się wydawało. Szczególnie ciężka stała się w ostatnich latach, kiedy lasy wielkopolskie zaatakował groźny szkodnik – brudnica mniszka.

Jest to motyl o wyglądzie i wielkości ćmy. Właściwie sam motyl nie jest szkodliwy i żyje tylko kilka dni. Kiedy złoży jaja w szczelinach kory – ginie. Jeden motyl składa 50–200 jajek. Zimują one do wiosny. Małe gąsieniczki w połowie kwietnia wygryzają się, wspinają się na gałęzie drzew i tam żerują. Zjadają igły drzew iglastych. Pod koniec czerwca otaczają się błonką podobną do skorupki. Około połowy lipca przepoczwarzają się i znów z nich wyfruwają motyle. Samiczki składają jaja i od połowy lipca do połowy sierpnia giną, i cykl się powtarza. Walczyć z tym szkodnikiem trzeba wtedy, gdy jest on w stadium gąsienicy.

Z brudnicą mniszką walczy się za pomocą preparatu rozpylanego z samolotu. Prepart nazywa się rib-cordy i jest sprowadzany z Holandii. Jest to środek bardzo silny, miesza się go z ropą naftową. Na 100 l ropy dodaje się ok. 0,35 l rib-cordy. Środek działa tylko trzy godziny, a po czternastu dniach rozpada się całkowicie. W czasie, kiedy stosowane są opryski, nie wolno spożywać warzyw i owoców rosnących w pobliżu lasu.

Leśnicy podczas oprysków są rozstawieni co kilkadziesiąt metrów na końcach obszaru opryskiwanego i obserwują lot samolotu. Gdy pilot zboczy z trasy, zawiadamiają o tym lotnisko (każdy ma nadajnik), a z lotniska pilot jest informowany o błędzie i musi poprawić kierunek. Oprysyski trwają od godz. 3 nad ranem – wtedy, kiedy się robi widno – do zmroku. Z przerwą w południe. Mój tato jest wtedy niemal całą dobę na stanowisku. Gdy przychodzi do domu, szybko coś zjada i zaraz idzie spać. Kiedy pada deszcz opryski nie są przeprowadzane.

Walka z brudnicą mniszką trwała u nas dwa sezony. Gąsienice zniszczyły spore obszary lasu. Szkoda tym bardziej, że w latach ubiegłych była tu prowadzona gospodarka rabunkowa. Wycinało się u nas w ciągu roku więcej drzew niż przyrastało masy drzewnej. A nowe drzewa będą nadawały się do eksploatacji za jakieś 80 lat. Las rośnie wolno...

Jeszcze na koniec o śmieciach w lesie. Jest ich szczególnie dużo przy szosach i drogach publicznych, a także w pobliżu ośrodków wypoczynkowych. Roi się tam od przeróżnego rodzaju puszek, worków foliowych, papierów itd. Las jest i tak mocno zaśmiecony, więc jak ktoś już musi wyrzucić te śmieci, to niech je lepiej zakopie!

Las jest naszym wspólnym dobrem. Szanujmy go...

Antonina Konieczna, Łopuchówko

ARSENAŁ '83

Rajd pamięci

Zimny, sobotni marcowy poranek. Od Śródmieścia Warszawy ciągną pieszo, tramwajami, autobusami grupki harcerzy. Czasami są to kilkuosobowe patrole, nierzadko całe drużyny. Cel ich wędrówki to sztab XIII Rajdu Arsenał organizowanego corocznie o tej porze przez Hufiec ZHP Warszawa–Mokotów im. Szarych Szeregów. Pod sztabem, któremu na ten dzień użyczył gościny Zespół Szkół Elektrycznych, przy ul. Puławskiej tłum harcerzy. Komendanci patroli w długiej kolejce czekają na przydział kwater i koperty z zadaniami. Tymczasem brać harcerska rozgrzewa się jak może: śpiewy, pląsy, przytupywanie, jakaś grupa gra nawet „w nogę". Wewnątrz, w holu, stoisko poczty harcerskiej z okolicznościowymi stemplami, sprzedaż wydawnictw harcerskich i bardzo interesująca wystawa wybranych przez organizatorów opracowań nadesłanych wcześniej przez uczestników rajdu.

Na kominku, który odbył się w sobotnie popołudnie w auli Politechniki Warszawskiej harcerze spotkali się z szaroszeregowcami, rodzinami poległych bohaterów. Na zdjęciu (w środku) Zdzisława Bytnarowa – Matka „Rudego"

Przeglądamy z dh. Kazimierczukiem m.in. meldunek harcerzy z IV Szczepu im. Szarych Szeregów w Opolu, którzy opisali jeden dzień walki biorącego udział w powstaniu warszawskim dh. Stefana Gorgonia ps. „Kurp"; meldunek patrolu z Młodzieżowego Kręgu Instruktorskiego „Szefczyki" ze Świdnicy sporządzony na czerpanym papierze, a będący plonem poszukiwań na terenie ich miasta uczestników ruchu oporu oraz relacje z przeprowadzonych z nimi rozmów.

Warszawskie Powązki. Po prawej stronie od głównej alei kwatera Szarych Szeregów. Proste, żołnierskie, brzozowe krzyże. Spoczywają tu prochy ponad 380 poległych w czasie II wojny harcerzy.

– Dwie pierwsze mogiły usypano tu w marcu 1943 r. „Rudemu" i „Alkowi" – wspomina druh **Stanisław Sieradzki ps. „Świst"**, żołnierz Batalionu „Zośka". Opowiada o dziewczętach i chłopcach spod znaku lilijki, z którymi złączyła go harcerska służba w tamtych tragicznych wojennych czasach. Wiele razy przyszło mu przemierzać drogę do tej kwatery ze zwłokami poległych towarzyszy na ramionach. Dh „Świst" kończy swą opowieść, nadciągają bowiem kolejne grupy harcerzy, uczestników rajdu. Jeszcze tylko życzenia sukcesów na trasie i dobrych wyników w nauce.

– Uczcie się, bo ja, kiedy na tajnym komplecie oberwałem dwóję z geografii, za karę nie brałem udziału w akcji pod Sieczychami. Inny z szaroszeregowców dodaje: – A bywało i tak, że kto tych dwój miał więcej, to był zawieszany, nieraz i na parę miesięcy, aż się z nich wygrzebał.

Przychodzą następne patrole: z Sulejówka, Wrocławia, Skwierzyny, Krakowa. Składają na grobach kwiaty, oddają cześć poległym, słuchają wspomnień harcerzy z Szarych Szeregów.

Następnego dnia, w niedzielę rano, z dziewięciu różnych punktów wyruszają na trasy pierwsze patrole. Nowością tegorocznego rajdu jest „Przeprawa przez Wisłę" zorganizowana z pomocą wojska. Przy Płycie Czerniakowskiej, obok Pomnika Sapera, żołnierze spuszczają na wodę trzy łodzie. Zajmują w niej miejsca byli żołnierze I Armii Wojska Polskiego, którzy we wrześniu 1944 r. na rozkaz swego dowódcy, gen. Z. Berlinga, pospieszyli z pomocą warszawskim powstańcom. Za chwilę przepłyną Wisłę, by spotkać się z oczekującymi na praskim brzegu rzeki harcerzami. Wspomnienia, pytania o szczegóły, wpisy do kronik. Żołnierze pomagają wciągać kamizelki ratunkowe i po chwili kilka patroli na łodziach motorowych przeprawia się przez Wisłę. Trwa to zaledwie 3–4 minuty, niektórzy są rozczarowani, że tak szybko. Przed Pomnikiem Sapera zbiórka, złożenie kwiatów i dalej na trasę: plac Bernardyński, Idzikowskiego, Puławską do Muzeum Dunikowskiego. Na praskim brzegu przygotowują się do przeprawy kolejni harcerze.

Na Żoliborzu tymczasem pierwsze patrole przeszły tzw. trasę kanałową. W punkcie startowym, znajdującym się w szkole pożarniczej przy ul. Potockiej spotkanie z p. **Andrzejem Olszewskim**, byłym żołnierzem z plutonu saperów kanalarzy, batalionu „Kryska". Dzisiaj trasę, jaką kilkakrotnie przemierzał pan Andrzej w czasie powstania, możemy dokładnie zobaczyć na mapie. Wówczas plany te były niedostępne, każdą trasę trzeba było odkrywać na nowo. Odcinki kanałów o przekroju 70 cm, a były i takie, trzeba było pokonywać zgiętym wpół lub na czworakach. Ciemności, zaduch, nieczystości sięgające pasa powodowały nieraz wśród wycieńczonych ludzi panikę. Ale wówczas była to jedyna droga ewakuacji ze straconych już pozycji do tych rejonów miasta, gdzie trwały jeszcze powstańcze placówki.

Na skwerku przy ulicy Potockiej, przy otwartym włazie do kanału pracownicy warszawskich wodociągów i kanalizacji. Co chwila w dół po obślizgłych hakach spuszczają się harcerze. Ten kanał, zwany burzowym, ma średnicę ok. dwóch metrów, przejście w ciemności jego 300-metrowego odcinka zajmuje kilka minut. Ktoś porównuje go z promenadą. Coraz bliżej światło przedostające się z kolejnego włazu, wdrapujemy się na górę. Dopiero teraz dowiadujemy się, że stałymi mieszkańcami kanału są szczury, na szczęście do spotkania nie doszło. Nieco usmarowani i ubłoceni idziemy na kolejny odcinek trasy szlakiem żoliborskich walk powstańczych, by po przejściu spotkać się ze wszystkimi uczestnikami rajdu na uroczystym apelu pod Arsenałem.

Czekając na jego rozpoczęcie harcerze dzielą się wrażeniami z tras, wymieniają adresy, obiecują sobie kolejne spotkanie za rok. Pada komenda: Baczność! Przed harcerskimi kolumnami defilują poczty sztandarowe hufców, szczepów, drużyn. Orkiestra wojskowa gra hymn państwowy. Przed tablicą upamiętniającą odbicie przez oddział harcerskich Grup Szturmowych 25 więźniów przewożonych przez gestapo z alei Szucha na Pawiak, szaroszeregowcy, rodziny poległych, harcerze i harcerki składają kwiaty, oddają hołd poległym. W uszach dźwięczą jeszcze końcowe frgmenty rozkazu specjalnego komendanta Hufca Mokotów: ***„Stojąc dziś na apelu w 40 rocznicę Akcji pod Arsenałem pamiętajmy o naszym harcerskim Przyrzeczeniu i harcerskiej służbie. Pamiętajmy, że bohaterem nie można zostać tylko przez bohaterską śmierć, lecz wcześniej trzeba godnie przeżyć swe życie".***

MARIA JAWORSKA
Fot. **W. Wróblewski**

Rajdowy patrol słucha gawędy druha Stanisława Sieradzkiego „Śwista"

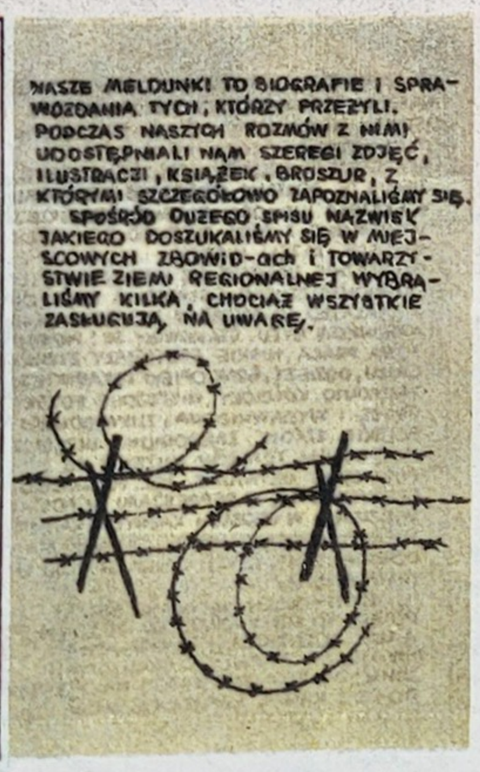

Strona tytułowa oraz fragment meldunku z wykonanego przed rajdem zadania patrolu z MKI „Szefczyki" ze Świdnicy

Długoletni komendant „Arsenału" **hm. PL Jerzy Kazimierczuk** oprowadzając po wystawie podkreśla, że najważniejszą robotę wykonują harcerze zanim przyjadą do Warszawy, w swoim miejscu zamieszkania. Rajd jest niejako jej podsumowaniem.

– W tym roku wszystkim zgłaszającym się do nas postawiliśmy następujące zadania: odnaleźć bohaterów ruchu oporu, zebrać ich dane biograficzne i przedstawić w formie krótkiego meldunku, przeprowadzić wywiad i opisać nieznane akcje jednostek walczących w ruchu oporu, a na koniec, wykorzystując zebrane materiały, przygotować kominek.

Już z tych materiałów, które dotąd przejrzeliśmy widać, że harcerze podeszli do pracy niezwykle starannie i sumiennie. Proszę zobaczyć, jaka bogata faktografia, opracowanie graficzne – kosztowało to na pewno sporo wysiłku.

Przeprawa przez Wisłę była ogromną atrakcją nie tylko dla dziewcząt

Na tegoroczny rajd ściągnęły z całej Polski ponad 3 tysiące harcerzy ze szczepów i drużyn noszących imiona bohaterów Szarych Szeregów

Georges Brassens – trubadur Francji

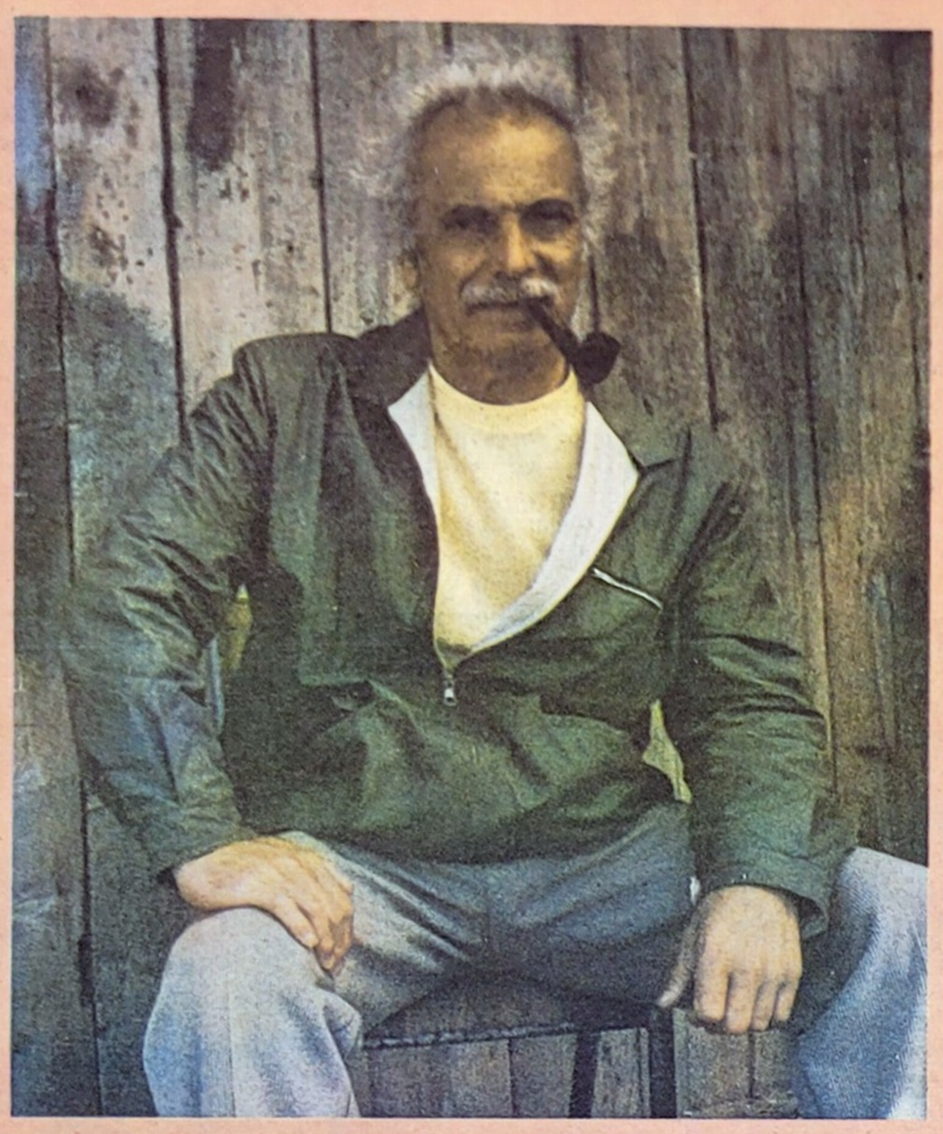

Urodził się w nadmorskiej miejscowości Sète, na południu Francji, 22 października 1921 roku i tam też umarł w 60 lat później. Był postacią wyjątkową nawet w historii piosenki francuskiej, choć ma ona przecież niezwykle długą i bogatą tradycję na tle innych europejskich krajów.

Georges Brassens, nim zdobył sobie popularność, bardzo długo, bo ponad 10 lat pracował na swój niebywały sukces. Gdy w 1952 r. go osiągnął – uczynił to w sposób błyskawiczny: w ciągu zaledwie miesiąca z nieznanego nikomu autora przeistoczył się w gwiazdę piosenki. Przez blisko 30 lat jego kolejne płyty i koncerty cieszyły się niesłabnącym powodzeniem i do dziś jego poezja śpiewana nie straciła niczego ze swojej mocy, opierając się wszelkim muzycznym modom.

Już w początkach swej kariery śpiewał dojrzale, bo przecież długo opracowywał „w ukryciu" swe utwory. Również później, w pełnym blasku sławy pracował nad nimi jak przedtem – długo i starannie. Wydawałoby się, że mógłby tak „szlifować" je bez końca – dopiero konieczność występu zmuszała go do kończenia poprawek. Plonem tej wytężonej pracy i twórczego niezadowolenia był zawsze podziw słuchaczy dla precyzji wyrażania w prostych słowach głębokich myśli, i dla kunsztowności rymów.

Jego wielbiciele wiele mu wybaczali. Żaden artysta nie mógłby przecież pozwolić sobie na występy raz do roku, potem raz na dwa lata, wreszcie tylko raz na pięć lat. To wyjątkowe traktowanie zawdzięczał pieśniarz, choć to wydać się może paradoksalne, właśnie swojemu ogromnie poważnemu stosunkowi do pracy. Wiedziano jak wiele znaczy dla niego perfekcja tekstu i pamiętano też o jego kłopotach ze zdrowiem.

Georges Brassens – gwiazda piosenki, jak każda sławna osoba, był narażony na wścibstwo dziennikarzy. Bronił się jednak przed ujawnianiem faktów ze swego prywatnego życia, twierdząc, że teksty jego piosenek, poglądy w nich zawarte powinny publiczności wystarczyć, bo mówią same za siebie. Zawsze walczył, by pozostawać w harmonii z samym sobą. Ta jego postawa wywoływała szacunek. Nic zatem dziwnego, że zorganizowany w 1976 roku plebiscyt pisma „Paris Match", którego celem była odpowiedź na pytanie jaka sławna osoba symbolizuje dla Francuzów szczęście – Brassens wygrał bezapelacyjnie – dystansując takie znane osobistości jak książę Monaco – Rainier, czy Alain Delon. Sam Brassens skomentował ten fakt następująco: *Nie należy nigdy nikogo pytać o to czy jest szczęśliwy – jest to niedyskrecja.*

W swoich piosenkach starał się odrzucić i ośmieszyć to, co człowieka ogranicza i kaleczy jego osobowość. Wyśmiewał się z ustalonych raz na zawsze poglądów, z nietolerancji, z bezmyślnego fanatyzmu i sztucznego patosu. Popierał zaś to wszystko, co niezależne i spontaniczne, a zarazem zgodne ze zdrowym rozsądkiem. Śpiewał o zwykłych ludzkich wzruszeniach, o potrzebie ciepła i delikatności – o tym co w człowieku najlepsze. Szukał cech pozytywnych u ludzi, których potępia przeciętny mieszczuch – u złodziejaszków, kloszardów, u tych, których zwie się ludźmi z półświatka. Nie należy jednak traktować tych postaci dosłownie, był to bowiem jedynie sposób ostrzejszego wyrażenia głębokich treści jego życiowej filozofii.

Śpiewał przy akompaniamencie gitary, bardzo spokojnie, prawie monotonnie, cedząc poszczególne słowa. Tekst stanowił dla niego najistotniejszą część piosenki. Muzykę, którą pisał, choć obroniła się świetnie w późniejszych wykonaniach instrumentalnych, traktował jedynie jako tło dla słów.

Poezja ta, bo z pewnością są nią teksty Brassensa, jest w Polsce stosunkowo mało znana. W latach sześćdziesiątych kilka swych tłumaczeń opublikował w „Radarze" Józef Waczków, świetny przekład piosenki pt. „Kwiat przecudowny" („Une jolie fleur") nagrał na swojej kasetce „Piosenki Starszego Pana" Jeremi Przybora, w 1980 roku „Literatura na świecie" zamieściła kilkanaście tłumaczeń piosenek Brassensa, wreszcie ostatnio, w 1982 roku, w miesięczniku „Poezja" – w numerze poświęconym poezji śpiewanej, ukazały się przekłady Brassensa prozą poetycką.

Brassensowi zdarzyło się tylko raz zagrać w filmie. Był to obraz pt. „Porte des Lilas" René Clair'a z Pierre Brasseurem w roli głównej. George Brassens grał tam samego siebie. Jednak kręcenie filmu, nie kończące się oczekiwanie na kolejne ujęcia nużyły go. Gdy wreszcie jego ojciec – solidny rzemieślnik – murarz z Sète, oświadczył mu krótko: *Piszesz piosenki. Idzie ci to dobrze. Nie musisz zajmować się kinem* – Brassens nigdy już więcej nie wystąpił jako aktor. Napisał potem jedynie muzykę do filmu z Jean Gabinem oraz piosenki tytułowe filmów „Les copairs" („Kumple z pokładu") oraz „Heureux qui comme Ulysse" („Szczęśliwy ten, kto jak Ulisses...")

Brassens kochał zwierzęta – szczególnie koty. Stanowiły dla niego symbol niezależności oraz obraz poetycki na podobnej zasadzie, jak inne postacie – symbole z jego piosenek: osoba Boga czy śmierć, która była jego wielką obsesją i powracającym tematem. Gdy opuszczał swój wiejski dom w Crespieres zostawiał wszystkie drzwi i okna otwarte, wewnątrz zaś pożywienie – aby przychodzące tam koty nie odzwyczajały się od swych nawyków. Stąd też jego dom systematycznie okradano.

Śmierć Brassensa wywołała we Francji olbrzymie poruszenie. Zmieniono program w radio i telewizji, wszystkie gazety poświęciły jego osobie i twórczości wielostronicowe artykuły, zaś prezydent Mitterrand złożył mu hołd w specjalnym oświadczeniu. Sam Brassens byłby tym z pewnością bardzo skrępowany. Jak pisał bowiem ów syn prostego rzemieślnika z Sète w jednej ze swych piosenek, której fragment przełożyłbym następująco:

Choć krajów w świecie nie brak nam
To świat powitasz tylko tam
Gdzie ci nakaże los troskliwy
Ten o kim mowa wkroczył w czas
W najbardziej cichym spośród miast
Człek to wstydliwy.

JERZY MENEL
Fot. **archiwum**

GWIAZDOZBIÓR

DOM MODY świata młodych

Alert dla włosów

Nie ma chyba dziewczyny, która by o tej porze roku była zadowolona ze swoich włosów. A to matowe się jakieś zrobiły, a to na końcach się rozdwajają, a to przetłuszczają się jak nigdy dotąd... Słowem – same kłopoty. I nic w tym dziwnego. Po pierwsze wczesną wiosną organizm jest wyczerpany i osłabiony – brak nam było zimą słońca, powietrza, witamin w naturalnej postaci, wakacje były dawno, a za nami niemal cały rok szkolny. To wszystko objawia się nie tylko zmęczeniem i sennością, ale również problemami z włosami właśnie. Po drugie zaś – tłamsiłyśmy przez parę miesięcy te włosy pod różnymi czapami, chustkami czy beretami. Uniknęłyśmy w ten sposób przeziębienia, ale włosom bynajmniej dobrze to nie zrobiło, są przyklapnięte po prostu. Trzeba więc coś zrobić, aby jak najszybciej przywrócić im dawny, ładny wygląd. Ogłaszam więc niniejszym ALERT DLA WŁOSÓW!

Po pierwsze – wizyta u fryzjera. Trzeba je bowiem nieco skrócić (zwłaszcza te, które rozdwajają się na końcach, albo nadmiernie wyłażą; ale wszystkim się taka „operacja" przyda). Dla ich zdrowia przede wszystkim, ale również dla modnego wyglądu – najmodniejsze są obecnie włosy krótkie.

Po drugie – bardzo intensywna pielęgnacja. Dobrze im zrobi jeżeli przy kilku kolejnych myciach użyjemy w tym celu nie szamponu, ale żółtka. Przy włosach krótkich wystarczy jedno, przy dłuższych i bardziej obfitych trzeba w tym celu poświęcić dwa. Wciera się to żółtko w głowę i masuje tak samo jak przy użyciu szamponu; tyle że piana nie będzie tak obfita. Oczywiście włosy trzeba przedtem zmoczyć. Jeśli komuś bardzo się włosy przetłuszczają, to po takim żółtkowym myciu trzeba je dobrze wypłukać w naparze ziołowym. Najlepsza byłaby gotowa mieszanka do włosów pn. Kapilosan, ale można wziąć trochę rumianku, a do tego jeszcze mięty, kłącza tataraku, kory dębowej – co tam kto ma.

Poza tym trzeba dać włosom pooddychać, a więc o ile pogoda na to pozwala – jak najwięcej przebywać na powietrzu z gołą głową.

Po trzecie – naturalna kuracja witaminowa. Skarbnicą wręcz wszelkich witamin i soli mineralnych jest niepozorne zielsko pt. rzeżucha. Rośnie błyskawicznie (już w 10 dni po posianiu można ją ścinać do jedzenia) i nie wymaga nawet ziemi, wystarczy położyć na talerzyku grubszy płatek ligniny, wysypać nań nasionka rzeżuchy i utrzymywać plantację w stałej wilgotności. Plantacja taka powinna składać się z 3–4 „grządek" (czyli doniczek lub talerzyków z ligniną) zasiewanych co parę dni, aby zawsze mieć świeżą dorodną rzeżuchę. Jeśli ktoś nie będzie mógł zdobyć jej nasion (chociaż na ogół w większości sklepów ogrodniczych można ją obecnie dostać), może ostatecznie zastąpić rzeżuchę (w podanych niżej przepisach kulinarnych) zieloną pietruszką. Do dużej donicy z ziemią trzeba wsadzić 3–4 zdrowe korzenie pietruchy i codziennie podlewać; niedługo wypuści zielone listki.

A oto polecane dania:

Kanapka zielona – kromka razowego chleba z masłem, łyżeczka posiekanej rzeżuchy, sól. Chleb posypać rzeżuchą, posolić.

Twarożek wiosenny – 1/2 paczki twarożku homogenizowanego (może być i robiony domowym sposobem), łyżeczka posiekanej rzeżuchy, kilka rzodkiewek, sól. Rzodkiewki pokroić w plasterki, wszystkie składniki dobrze wymieszać, posolić do smaku.

Sałatka kolorowa – 3–4 listki zielonej sałaty, 1 jajko na twardo, kilka rzodkiewek, kopiasta łyżeczka posiekanej rzeżuchy, ćwierć szklanki jogurtu (kefiru, roztrzepanego zsiadłego mleka, a dla tych co nie obawiają się o figurę – śmietany), sól. Rzodkiewki pokroić w plasterki, jajko w plasterki i jeszcze na połówki, sałatę po umyciu i osączeniu z wody porwać palcami na drobne kawałki; wszystkie składniki razem delikatnie wymieszać, doprawić solą, polać jogurtem.

Sos sałatkowy – 1/2 szklanki majonezu (kupnego lub domowego), 1/2 szklanki jogurtu (lub jak wyżej), łyżeczka soku z cytryny (lub czegoś innego kwaśnego – np. kwasek cytrynowy, galaretka porzeczkowa, ew. sok z kiszonej kapusty), 3 czubate łyżeczki rzeżuchy. Wszystkie składniki wymieszać. Sosu można używać (w tych proporcjach to jest porcja kilkuosobowa, rodzinna) do jajek ugotowanych na twardo, do sałatki kartoflanej (6 sporych kartofli gotować w mundurkach przez 40 minut, ostudzić w łupinach, obrać, pokroić w plasterki, wymieszać z plasterkami jednej dużej cebuli), do sałatki warzywnej (A. puszkę fasolki szparagowej – ew. paczkę fasolki mrożonej po zagotowaniu i wystudzeniu, wymieszać z plasterkami dużej cebuli i dwóch jajek na twardo; B. Pokroić w kostkę wystudzone warzywa z zupy, duże jabłko, średniej wielkości cebulę i wszystko wymieszać).

Oczywiście potraw z dodatkiem rzeżuchy może być dużo więcej. Codziennie trzeba zjeść jedną z nich, tzn. wrzucić w siebie co najmniej łyżeczkę siekanej rzeżuchy. Jak długo? Co najmniej tyle czasu, ile trwa ALERT DLA WŁOSÓW. Ja go ogłaszam NA MIESIĄC, czyli do 19 maja. Jeśli ktoś uzna, że to za mało, może go sobie oczywiście sam przedłużyć.

A więc – od dzisiaj trwa ALERT DLA WŁOSÓW!

RIUSZKA

Z NOTATNIKA FILATELISTY

Pod koniec listopada ub. r. Ministerstwo Łączności wprowadziło do obiegu pocztowego cztery znaczki popularyzujące postacie wybitnych uczonych – twórców polskiej szkoły matematycznej. Na znaczkach poszczególnych wartości przedstawiono podobizny:

5 zł – Stanisława Zaremby (1863–1942),
6 „ – Wacława Sierpińskiego (1882–1969),
12 „ – Zygmunta Janiszewskiego (1888–1920),
15 „ – Stefana Banacha (1892–1945).

Znaczki zaprojektował artysta plastyk Henryk Chyliński, a wydrukowano je wielobarwną techniką rotograwiurową na papierze kredowym w formacie 39,5 mm×31,25 mm w następujących nakładach: wartości 5 zł, 6 zł i 12 zł po 6 milionów sztuk, a wartości 15 zł – 5 milionów sztuk.

W dniu wprowadzenia znaczków do obiegu pocztowego w sprzedaży były dwie ozdobne koperty FDC, które zostały opatrzone okolicznościowym kasownikiem stosowanym w Urzędzie Pocztowym Warszawa 1.

Ozdobne koperty oraz okolicznościowy kasownik pocztowy zaprojektował również artysta plastyk Henryk Chyliński.

Trzy znaczki z omówionej emisji przedstawiamy na reprodukcji.

Warto nadmienić, że w roku 1969 z okazji Kongresu Matematyków Polskich Poczta Polska wydała okolicznościową kartę pocztową, której znak opłaty wartości 40 gr. przedstawia portret wybitnego polskiego matematyka Stefana Banacha.

PIOTR WIECZOREK

CZOŁGIEM DO... MAMY

W. BRYTANIA. (PAP). 18-letni żołnierz brytyjski wyprowadził poza koszary 50-tonowy czołg i udał się nim do... domu rodzinnego, gdzie też dotarł przez nikogo nie niepokojony, choć do przebycia miał ok. 200 km.

Niebawem jednak nadszedł pościg z jednostki, w której służył. Chłopak tłumaczył się, że do wyprawy popchnęła go tęsknota za mamą... **(kl)**

„Challenger" – drugi amerykański wahadłowiec wystartował w kosmos

Nastąpiło to 3 kwietnia br. „Challenger" jest drugim amerykańskim promem kosmicznym. Pierwszy to „Columbia", która od 2 kwietnia 1981 r. wykonał pięć lotów i nadal nadaje się do dalszego wielokrotnego użytku. „Challenger" pierwotnie miał wystartować 20 stycznia br., jednakże kłopoty z silnikami zmusiły NASA do opóźnienia startu o 10 tygodni.

Dla postronnego obserwatora między „Columbią" i „Challengerem" nie ma żadnych różnic. Specjaliści podkreślają jednak, że są i to znaczne. Nowy statek ma szereg udoskonaleń, których testowanie na „Columbii" było niemożliwe bądź ryzykowne. Przede wszystkim usunięto w „Challengerze" wszystkie części, które uznano w „Columbii" za zbędne. Jest on więc lżejszy o 1 128 kg i waży 67 876 kg.

Zmniejszono również o 5 ton wagę ogromnego zbiornika na paliwo, który towarzyszy promowi w momencie startu. Z powierzchni nowego wahadłowca usunięto także 600 z 30 tysięcy płytek termicznych i zastąpiono je superlekką powłoką termiczną. Są to zmiany istotne, gdyż każdy ujęty kilogram konstrukcji może być zastąpiony kilogramem towarów użytkowych. Wahadłowiec ma, jak wiadomo, spełniać rolę płatnej „taksówki kosmicznej", więc im większy ładunek zabiera na orbitę, tym większy zarobek. Koszt każdego lotu kształtuje się w granicach 250–300 milionów dolarów.

Wzmocniono także, w stosunku do „Columbii", silniki „Challengera", co również pozwala zwiększyć ilość wynoszonego na orbitę ładunku.

W obecnym locie „Challenger" zabrał w luku towarowym największego telekomunikacyjnego satelitę, jakiego kiedykolwiek umieszczono na orbicie okołoziemskiej. „TDRS-A" – bo taką nazwę ma ten satelita – waży 2268 kg. W pierwszym dniu lotu statku satelita został skierowany za pomocą własnej, sterowanej komputerem rakiety na orbitę stacjonarną nad Oceanem Atlantyckim. Jej wysokość wynosi 35 887 km.

Warto przypomnieć, że satelita na orbicie stacjonarnej pozornie „wisi" stale nad tym samym obszarem Ziemi. Wynika to stąd, że jego prędkość kątowa po orbicie jest równa prędkości kątowej obrotu naszej planety.

„TDRS-A" będzie zapewniał łączność Ziemi z satelitami na niższych orbitach. Ma on również pełnić rolę centrali telefoniczno-radiowej dla laboratorium kosmicznego – „Spacelab", które jeszcze w tym roku ma znaleźć się na okołoziemskiej orbicie. „Spacelab" jest wspólnym dziełem uczonych Europy Zachodniej. Nie wiadomo jednak czy program ten zostanie zrealizowany, gdyż są kłopoty z satelitą „TDRS-A". Okazuje się, że nie wszedł on na zaplanowaną orbitę. Trwają więc wysiłki, aby za pomocą jego własnych silników sterujących, wprowadzić pechowego satelitę na właściwą wysokość.

Na pokładzie „Challengera" znajduje się czteroosobowa załoga: dowódca statku – **Paul Weitz,** pilot – **Karol Bobko** i dwóch uczonych – **Story Musgrave** i **Donald Peterson**. Program przewiduje pięciodniowy pobyt w kosmosie, w czasie którego S. Musgrave i D. Peterson wyjdą na cztery godziny w przestrzeń kosmiczną. Celem tego „spaceru" poza statkiem będzie m.in. przetestowanie nowych skafandrów, które zawiodły w czasie wypraw „Columbii". Mają oni również dokonać próbnych napraw w luku towarowym wahadłowca.

Po licznych perypetiach wystartował już drugi wahadłowiec. W budowie są dwa następne. Należałoby się więc cieszyć, że zwiększają się możliwości badania tajemnic kosmosu. Niestety, po ostatnim przemówieniu prezydenta R. Reagana, ogarnia człowieka pesymizm. Zapowiedziana militaryzacja kosmosu, właśnie za pomocą promów kosmicznych, napawa miliony ludzi zrozumiałą obawą o przyszłość naszej planety. Krytyka zamierzeń prezydenta jest powszechna, nawet w jego własnym kraju. Jest więc nadzieja, że zdecydowany sprzeciw społeczeństw nie dopuści do tego szaleńczego kroku.

PREZES

WŁAZY W STATKACH KOSMICZNYCH

Na wstępie chciałbym wyraźnie zaznaczyć, że wszystkie statki kosmiczne są zaopatrzone w zamknięcia, które nie mogą być całkowicie hermetyczne, a problem szczelności kabiny polega na tym, by upływ powietrza przez nie sprowadzić do minimum.

Najlepszym materiałem dla części konstrukcji stykającej się z sobą jest metal szlachetny – złoto, w postaci cienkich płatków. Jest ono ciągliwe i może się dokładnie zespolić nie pozostawiając szczelin. Należy jednak uważać, aby włazy nie zostały zymknięte zbyt mocno, bo wtedy płatki złota ulegną zmiażdżeniu.

Kształt włazu ma małe znaczenie. Amerykanie zaprojektowali otwór włazu w kształcie trapezu natomiast Rosjanie jako koło.

Amerykanie stosują włazy lekkie, dosyć elastyczne, których deformację uniemożliwiają liczne zamki. Toteż otwieranie jak i zamykanie trwa półtorej minuty. Ten zbyt długi czas był przyczyną śmierci: White'a, Grissoma i Chaffe'a, którzy w lutym 1967 r. spalili się w kabinie w ciągu 6 sekund. Niektórzy konstruktorzy doszli do wniosku, że przeceniono niebezpieczeństwo ulatniania się powietrza, ale za to nie doceniono niebezpieczeństwa pożaru.

Rosjanie wybrali włazy ciężkie. Ich masa zapobiegała deformacji i wydawało się, że właz pojedyńczy wystarczy. Jeśli miejsca zetknięć będą miały kształt schodkowy, w ten sposób powstanie duża powierzchnia styku. Ale w gruncie rzeczy było to tylko jedno zamknięcie. I to było słabym punktem; szczelność zależała od dokładnego zamknięcia.

Bezpieczeństwo wydaje się być zapewnione przez wprowadzenie dodatkowej komory przejściowej. Po pierwsze, przy dzisiejszej technologii włazy źle domknięte są czymś mało prawdopodobnym, z tego wynika, że wadliwość aż dwóch włazów jest rzeczą niemożliwą. Po drugie, ulatnianie powietrza zostanie wykryte przy badaniu ciśnienia w kabinie i w komorze przejściowej.

Dariusz Dynia
ul. Legnicka 31c/12, 55-300 Środa Śląska

Plusy i minusy cyborgizacji

Piszę w związku z listem Wojciecha Garguli zamieszczonym w 22 nr „ŚM". Poruszona jest tam koncepcja człowieka-cyborga, czyli genialnego stwora żyjącego na zasadzie symbiozy martwego metalu, lub tworzywa sztucznego z żywą ludzką tkanką. Cel jest wzniosły. Człowiek-Superman nieskończenie silny, sprawny, o dużej przystosowalności do zmiennych warunków. Pozostaje jedno „ale". Jak czuł się będzie taki cyborg, jeśli większość ludności potraktuje go jako istotę niższą? Przecież wszystkich ludzi nie pozamienia się w cyborgi. Zawsze znajdzie się ktoś, kto mimo wszystkich wad i słabości swego ciała nie zechce podreperować go w ten sposób. Cybernauta chociaż doskonale przystosowany do ciężkiej i niebezpiecznej pracy w kosmosie, na ziemi będzie traktowany jako... zwierzę pociągowe.

Na zakończenie mam propozycję do Czytelników aby po przeczytaniu tego tekstu poszli dalej tym torem rozważając wszystkie plusy i minusy tego zagadnienia. Aby zastanowili się nad problemem etycznym i moralnym cyborgizacji. Chętnych do dyskusji (jeśli tacy zaistnieją) proszę o korespondencję.

Tadeusz Bembinow,
ul. Lotnicza 2 a m. 3, 05-822 Milanówek

GAZOWA KORONA GALAKTYKI

Satelity astronomiczne – wyposażone w zdalnie kierowane z ziemi teleskopy umożliwiają sięgnięcie w głąb galatyki. Interesującego odkrycia dokonano niedawno za pomocą amerykańskiego satelity z serii OAO. Specjaliści z NASA stwierdzili, że nasza Galaktyka otoczona jest jak gdyby koroną z gigantycznego obłoku gazów – głównie helu i wodoru. Średnica gazowej otoczki wynosi ok. 25 tys. lat świetlnych, a temperatura wewnątrz obłoku dochodzi do ok. 100 tys. stopni.

Istnienie takiego obłoku przewidziano teoretycznie już przeszło ćwierć wieku temu, ale dopiero teraz specjalistom udało się tę hipotezę potwierdzić. Gazowa korona naszej Galaktyki będzie przedmiotem szczegółowych badań w ciągu najbliższych lat.

– Wszystkiego nawet nie mogę opowiedzieć – odparłam znacząco.

Tania rzuciła mi spojrzenie, pełne zdumienia i zachwytu. Do głowy jej nie przychodziło, że mogę bujać. Zrobiło mi się trochę wstyd.

– Rozumiem! – powiedziała. – Ale co będzie z wami dalej?

– Umówiliśmy się, że będziemy do siebie pisywać. Na poste restante. A zimą może do mnie przyjedzie.

– Ojej! – zawołała Tania. – Pokażesz mi go, jak przyjedzie?

– Jasne! – odparłam, pokazując jej w kieszeni figę.

– A jak mu na imię?

– Światosław – odparłam i w tej chwili pożałowałam, że nie Georgij. Georgij byłoby ładniej. Ale trudno, przepadło.

Od początku roku nauka jakoś mi nie szła. Że matematyka – to normalne, pod tym względem nie spodziewałam się żadnych cudów. Ale historia! Historię zawsze lubiłam. W szóstej klasie nasza historyczka chwaliła mnie nawet przed całą klasą za „twórcze podejście do przedmiotu". Rzecz w tym, że czytałam wtedy właśnie „Trzech muszkieterów" i mogłam opowiedzieć o kardynale Richelieu i Mazarinim więcej, niż było w podręczniku.

Ale w tym roku mieliśmy nowego historyka. Był zupełnie młody, miał cienkie, zwisające ku dołowi wąsiki i małą bródkę. Przez te wąsiki i bródkę zyskał od razu przydomek chana Mamaja.

Konflikt między mną i historykiem zaczął się w momencie, kiedy przystąpiliśmy do przerabiania najazdu tatarskiego. Kiedy historyk wspomniał o chanie Mamaju, roześmiałam się głośno. Spojrzał na mnie, zamilkł na chwilę, po czym kontynuował wykład. Na następnej lekcji wyrwał mnie do odpowiedzi. W moim przekonaniu, odpowiedziałam zupełnie przyzwoicie. Poprzednia nauczycielka na pewno oceniłaby moją odpowiedź na piątkę i jeszcze pochwaliłaby mnie za „twórcze podejście". Napomknęłam skromnie, że czytałam opowieść „Czyngizchan" chociaż, Bogiem a prawdą, zmogłam ją tylko do połowy, na więcej nie starczyło mi cierpliwości. Mamaj postawił mi czwórkę. Naturalnie, zemścił się za wczorajsze. „Czekaj no, już ty mnie popamiętasz!" – pomyślałam sobie.

Odtąd na wszystkich lekcjach historii wlepiałam w niego wzrok i uśmiechałam się. Tylko tyle. On opowiada o wyzysku i nierówności klasowej – a ja się uśmiecham. On o okrucieństwie feudałów i właścicieli ziemskich – a ja się uśmiecham. Zieleniał wprost na twarzy, kiedy widział ten mój uśmiech. Ale ja byłam twarda.

Niektórym te moje zagrania nawet się podobały. Chociaż przyznam szczerze, że to wcale niełatwe – uśmiechać się przez czterdzieści pięć minut z rzędu. Kiedyś nawet założyłyśmy się z Tanią – która wytrzyma dłużej.

Tak samo jak w zeszłym roku siedziałam w jednej ławce z Jurką Żarkowskim, najlepszym uczniem w klasie. Była to druga ławka w środkowym rzędzie. Przed nami, w pierwszej ławce, siedziała Nina Rudkowska. Dwa starannie zaplecione grube warkocze z białymi kokardami, okulary, idealny porządek na ławce, wzorowa postawa i pełen skupienia profil, zawsze zwrócony do nauczyciela – wszystko to budziło we mnie szacunek i mimowolne uczucie nudy.

Nina siedziała sama, ponieważ nikt w klasie nie był godzien dzielić z nią ławki. Uczyła się jeśli nie na same piątki, to prawie, pilna zaś była niewiarygodnie. W zeszłym roku była starostą klasy, w tym wybrano ją redaktorem gazetki ściennej. W ciągu zeszłego roku gazetka ukazała się może ze trzy razy, ale teraz, kiedy pieczę nad nią objęła Nina, można było dać głowę, że sytuacja się zmieni.

Być może, gdyby nie Jurka Żarkowski, musiałabym przyłożyć się serio do algebry i geometrii. Ale na razie nie było konieczności. Jurka, z którym od piątej klasy siedzieliśmy w jednej ławce, rozwiązywał wszystkie zadania za mnie i za siebie.

Zwykle przychodził do szkoły wcześniej niż ja i kiedy siadałam w łace, zeszyt do matematyki leżał już przygotowany, otwarty na właściwej stronie. Tak samo rzecz się miała na klasówkach – Jurka najpierw rozwiązywał swoje zadania, a potem moje.

Ze strony nauczyciela nic nam nie groziło. Staruszek matematyk o przezwisku Kret nosił okulary o grubych szkłach i można było w jego obecności zrzynać nawet jawnie. Niebezpieczeństwo groziło mi z zupełnie innej strony. Ninka Rudkowska poprzysięgła sobie, że nie pozwoli mi ściągać.

Cdn.

RYSUNKI I TEKST

Jhrista

DZIWACZNE HAKI

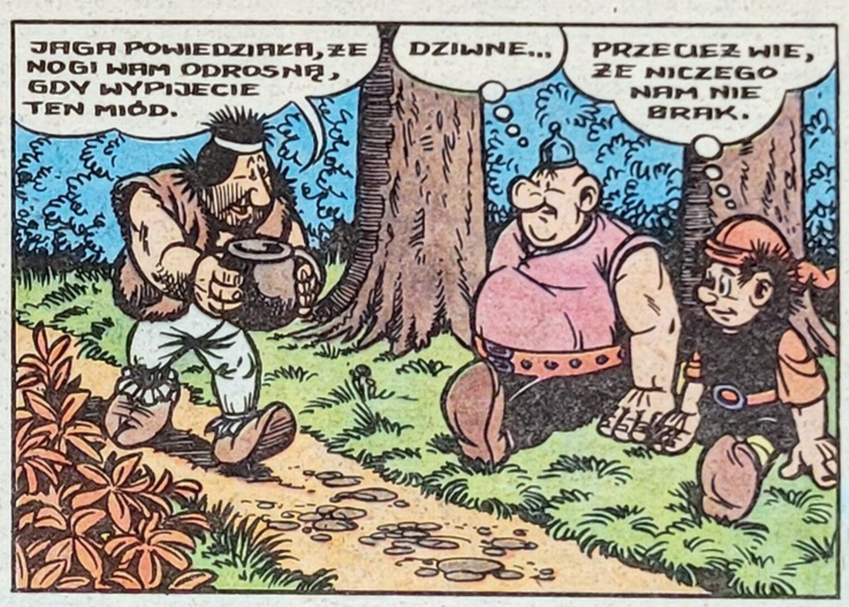

ŚWIAT MŁODYCH
HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

Nr indeksu 35046

PL ISSN 0137-9321

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa.
ADRES ODDZIAŁU: ul. Rynek 13, 40-003 Katowice (tel. 53-77-33 telex 0315569).
UKAZUJE SIĘ WE WTORKI, CZWARTKI I SOBOTY
REDAGUJE KOLEGIUM: Stanisław Borowiecki (redaktor naczelny), Jerzy Dąbrowski, Ewa Drobnik (zastępca red. nacz.), Maria Jaworska, Teresa Maciszewska, Zdzisław Przybyłowski, Barbara Skórska, Grażyna Szroeder-Bukowska (zastępca sekr. red.), Marzena Wierzcholska (zastępca red. nacz.), Wojciech Wróblewski (sekretarz redakcji).
TELEFONY:
Red. naczelny 21-15-61
Sekr. redakcji 28-25-48
Dział Łączności z Czytelnikami – 21-81-13 (czynny w godz. 11–15)
TELEX 81-36-58
Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca
WYDAWCA RSW „Prasa-Książka-Ruch" Młodzieżowa Agencja Wydawnicza 00-564 Warszawa, ul. Koszykowa 6A. Telefony: Dyrektor 28-09-73. Dział Wydawniczy 29-35-52.
Informacji o warunkach i terminach prenumeraty udzielają wszystkie Oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz urzędy pocztowe.
Opracowanie graficzne
Inna Bójska
Opracowanie techniczne
Jerzy Rusak
Korekta
Bianka Abratowska-Lisowska
Nakł. 500 000
DRUK Zakłady Graficzne Dom Słowa Polskiego
Nr zam. 1451/G. M-104

NIE ZAPOMNIJ OTO NASZ POCZTOWY 00-561

UŚMIECH NUMERU

WĘDKARZ siedzi nad brzegiem rzeki. Podchodzi jakiś przechodzień:

– Panie, łowienie w tym miejscu wzbronione! Zapłaci pan karę!

– Ja nie łowię ryb, ja tylko kąpię robaka!

– Tak czy inaczej zapłaci pan: kąpiel bez kostiumu jest też zabroniona!

*

– PIOTREK, ta waza, którą zbiłeś, była z siedemnastego wieku!

– Uff, oddycham! A wyglądała jak nowa...

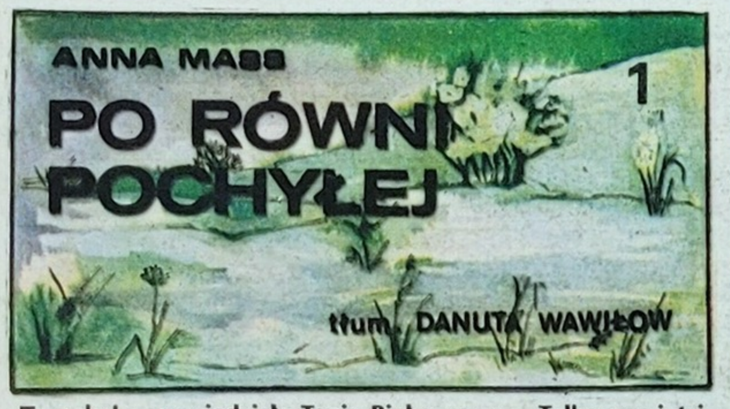

Lenka! – powiedziała Tania Biełousowa. – Tylko pamiętaj, nikomu ani mru mru! Żebyś wiedziała, jakiego chłopaka poznałam latem!

– Coś ty!?

– Ojej! W ogóle... Tania westchnęła na znak, że nie jest w stanie wyrazić całej głębi swych przeżyć.

– Jak mu na imię? – pospieszyłam jej z pomocą.

– Szurik.

– A z jakiej jest klasy? Też z siódmej?

– Właśnie o to chodzi, że nie! Z dziewiątej!

– Z dziewiątej?!

– No właśnie! Tylko pamiętaj, ani słowa!

Skwerek, na którym siedziałyśmy, mieścił się dokładnie pomiędzy zaułkiem, gdzie mieszkała Tania i ulicą, gdzie mieszkałam ja. Na ten skwerek prowadzono nas za rączkę, kiedy byłyśmy jeszcze małe. Lubiłyśmy go, chociaż na pierwszy rzut oka nie było w nim nic niezwykłego – udeptany wzgórek ze śladami mizernej trawki, ani jednego kwiatka, kilka ławek i pośrodku piaskownica, którą mijają przechodnie, przechodząc na skróty przez skwer i przeszkadzając bawiącym się w piasku maluchom.

Usiadłyśmy na niskim żelaznym ogrodzeniu, na wprost szkoły muzycznej. Przez otwarte okna szkoły widać było górne części portretów wielkich kompozytorów, dobiegały dźwięki fortepianu i skrzypiec, i cienki, przenikliwy głos, wywodzący rulady z takim samozaparciem, że aż gniotło w żołądku.

Przechodnie oglądali się na nas, a właściwie na Tanię. Tania w ciągu lata zmieniła się do niepoznania. Zeszczuplała i przeistoczyła się nagle w prawdziwą piękność o cienkiej talii, długich nogach i pociągłej, opalonej twarzy.

– A ja... – zaczęłam i umilkłam.

Coś musiałam wymyślić, nie wiedziałam tylko jeszcze co. Musiałam, bo inaczej umarłabym z zazdrości albo nabawiłabym się kompleksów.

– Naprawdę? – ucieszyła się Tania. – Ty też?

– Ale pamiętaj – jeśli komuś wygadasz...

– Zwariowałaś?

– No więc rozumiesz, zaczęło się od tego, że skręciłam nogę. Leżę na ziemi i nie mogę się podnieść.

– A gdzie to było?

– Na kolonii. Poszliśmy do lasu, a ja się odłączyłam i zostałam zupełnie sama w dzikim gąszczu. Naraz słyszę – sygnał na zbiórkę! Pobiegłam, potknęłam się o korzeń i leżę. Nagle patrzę – a tu on!

– Kto?

– Żołnierz. – Z wojsk desantowych. Spadochroniarz, rozumiesz. Najpierw się przestraszyłam, ale on mówi: ,,Niech się pani nie boi". Potem spytał, jak się nazywam, jak mi na imię. Mówię, że Lena, a on na to: ,,Bardzo ładne imię."

– Oni wszyscy tak mówią! – zauważyła Tania. – Szurik też mi powiedział, że mam bardzo ładne imię.

Aha. To znaczy, że moje kłamstwo ma pozory prawdopodobieństwa. Tym lepiej. Muszę tylko uważać, żeby nie wypadło zbyt banalnie. Dodać kilka barwnych szczegółów...

Przybrałam dramatyczny ton:

– Aż tu nagle zaczęła się burza! Pioruny, błyskawice! Deszcz lał jak z cebra. A on... no... miał przy sobie pelerynę i schowaliśmy się oboje pod tę pelerynę.

– Coś podobnego! – zachwyciła się Tania. – A jak wyglądał?

– No... taki... wysoki. Opalony. Miał niebieskie oczy i jasne włosy.

– Zwariować można! I co było dalej?

Dokończenie na str. 7